

WAROWNIA

~~Sho. 1205.~~
~~S. VI / 8. 2 / 193.~~

MARJAN LALEWICZ
ARCHITEKT
WARSZAWA, GÓRNOŚLĄSKA 41

WAROWNIA

ZESZYT ZBIOROWY

881.85-4

WYDAWNICTWO ZARZĄDU KOŁA LITERACKO - ARTYSTYCZNEGO DOMU POLSKIEGO
W MOSKWIE.

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI POLSKIEJ, MOSKWA, SRETIENSKI ZAUL. 2.

1916



ZEBRALIŚMY SIĘ RAZEM

Zebrałiśmy się razem tego dnia wieczorem — Dnia Zadusznego, trzeciego już, spędzanego poza krajem.

— Przypomina to zejście się w celi Konrada w wieczór wigilijny — rzekł poeta. — Są wprawdzie znaczne różnice przestrzenne, nie słyszymy łomotania zasuw i rygli, ale...

— Ale nie krwawmy więcej swych wspomnień — przerwał dziennikarz. — Tutaj tyle innych myśli nadlatuje chmurami całemi! Dziś już zresztą dzień ubiegł w rozpamiętywaniach obrzędów, jakie tam...

Nabrał na oblicze powagi, mającej wyrażać surowość i namaszczenie pracującej myśli.

— Idźmy w przyszłość — ciągnął. — Pamiętajmy, że skoro doniedawna jeszcze — a tak dawnym już się to dziś wydaję! — mówiąc z oddalenia o kraju... o ojczyźnie — poprawił się, lekko chrząknawszy, — mówilibyśmy: tam, tam i tam...

„Tam-tam“ nazywa się narzędzie w orkiestrze, które dzwon udaje, — niespodzianie przebiegło mi przez myśl, i zawstydiłem się...

—...teraz — kończył dziennikarz — mówić możemy tylko: tam, jedno tam. A przyszłość — hm... — może już niedaleka jedność tę — tak — zatwierdzi.

Przeszedł się po pokoju znużonym krokiem. Poeta patrzył w okno, przez które widać było kawałek przyczepionego do ulicy ogrodu. Bezlistne dzewa rzucały w przestrzeń nagie konary, jak nieprzytomnie wyciągnięte ręce stęsknione. Zmierzch coraz gęstszy opadał wśród koszarowych, przypominających ogromne katakumby, domów. Wkrótce św at stał się ciemnopopielatym tłem, na którym tu i owdzie wybłyskiwały ognie nielicznych świateł. Na to tło byliśmy — trzej — rzućni z trzech odłamów wielkiej Ruiny, mającej być odbudowaną w jedną zwartą całość.

Milczenie trwało; przerywał je oddalony turkot dorożek, zwykły szum wielkiego miasta, oraz przytłumiony, dochodzący z sąsiedniego mieszkania głos fortepjanu.

— Proszę cię, nie zapalaj światła — odezwał się wreszcie poeta, wstrzymując rękę dziennikarza, skierowaną ku lampie. — Oczy mnie boją...

Dziennikarz wzruszył ramionami i znowu począł przechadzać się ociężale w ciemności, wypełzającej z mrocznych kątów pokoju.

— Wybacz mi — mówił poeta — ale nie mogę opędzić się widzeniom rzeczy minionych. Dziś jest dziwny wieczór. Teraz właśnie święci się odwieczne obcowanie z przeszłością. Dziś *Dziady*. Umarli są z nami.

— Nie po to, by nas odrywać od życia — mruknął dziennikarz.

— Nie po to. Po to raczej, by właśnie prowadzić nas w przyszłość. Po to może, by teraźniejszość nawiązywała wciąż mocne nici pomiędzy przeszłością a przyszłością. Po to, iżbyśmy nagle ujrzeli to, co niepamięć czasem strąca w otchłań zapomnienia, co zaś w niektórych momentach staje przed oczyma duszy, jako gwiazda dni, które nastąpią.

Zwrócił się do mnie.

— Pamiętasz? Cztery lata temu byłem w Warszawie. Poznaliśmy się wtedy Dnia Zadusznego na Powązkach. Spotkaliśmy się powtórnie dopiero tutaj.

— Pamiętam. Dzień był rozświetlony. Spędziliśmy go razem na cmentarzu od południa aż do wieczora późnego. Już dzień poprzedni — dzień Wszystkich Świętych — oddany był przez żyjących umarłym. Wszystkie groby były przystrajane i tłumnie odwiedzane. Rojno było przez te dwa dni w grodzie mogił i krzyżów, a słońce przez pozołkłe i czerwone liście drzew i krzewów przeświecało złotem i rubinami. Gęsto spadały one, lecąc z góry, jak płomyki złociste i purpurowe, a spadłszy, czyniły szum pod nogami przechodniów.

— Szum mieszał się z przyciszonym gwarem, gdzieś tam w tłumionym płaczem i westchnieniami, tu i owdzie z szepem modlitwy...

— A potem, gdy wczesny zmierzch zgasił kolory i blaski, zapłonęły tysiące świateł na grobach. Pamiętasz łunę nad Powązkami, którą zoddali tak długo było widać? Spotkaliśmy się przy samotnej asfaltowej płycie mogilnej, cienkiej i płaskiej — bez napisu, bez wieńców i kwiatów, bez światła. Gdy jakaś niewidzialna ręka ukradkiem ośmielała się cisnąć na nią kwiat, wianek, druga ręka — już

widoczna, przez dwa dni stróżująca ut bez przerwy — natychmiast uprzętała kwiat, uprzętała wianek. Stałem opodal, obserwując walkę pragnącej niemocy z czujną mocą, gdy ktoś obok mnie szepnął: — Więc u was tak ciągle... — Obejrzałem się: to byłeś ty. — Skończy się to — odszepnąłem. — Tak — rzekłeś — wiem o tem: może niezadługo... A później już chodziliśmy razem po mieście krzyżów aż do wieczora.

— Długo staliśmy nad małym, równie sierocym kamieniem, na którym tylko jedno imię wyryto — Marja — nie więcej, ani nazwiska, ani daty. Przystroiliśmy ten grób kwiatem i płonącą lampką, a potem przez długie godziny rozmawialiśmy o innych samotnych, bezimiennych i nieznanach mogiłach naszych, w ogromnej większości zatartych już zupełnie, znajdujących się wszędzie — od wiecznych śniegów aż do krain upalnego słońca.

Dziennikarz przystanął.

— Czy po to zesliśmy się tutaj, aby się roztkliwiać daremnie? Wiedźcie, skoro tak bardzo wam o to idzie, że w tej chwili najpewniej na płycie owej — tak — są żywe kwiaty, są światła. A że nas tam niema... do pioruna, przecie będziemy! Dość wzdychać nad zapadłymi mogiłami! Zwróćmy się wreszcie do realnego życia... tak!

Usiadł ciężko na kanapie. Natomiast zerwał się poeta.

— Zapadłe mogiły! — zawołał. — Nie myśleć o nich! Ach, gdyby nie one, gdyby nie pamięć o nich, nie bylibyśmy tacy, jacy jesteśmy mimo wszelkie wysiłki, aby inaczej było. Gdyby nie one — pomyśl! — dziś może bylibyśmy obcy sobie całkowicie, jako członkowie trzech obcych sobie nacji. Nie płaczmy nad poległymi, ale pamięć o nich chowajmy w sercach gorących: ich mogiły — to konieczność, nadająca łączne istnienie nam, żyjącym. Nie płaczmy, lecz pomnijmy!

Zabrałem głos:

— Nie rozumiemy się... My nie płaczemy. Na miły Bóg! Toż wiemy, że ci, którzy odeszli, nie tylko budowali, ale dziś budują życie nasze. Ależ oni w nas istnieją. Toż wszystko, co było, narazie z dodatnimi czy ujemnymi rezultatami,

wszystko dziś jest podwaliną nowego, wydobywającego się z ruin żywota, nie tylko dając wskazania, lecz nadto wykazując nieśmiertelne pragnienie niezawisłego życia. A jeżeli to pragnienie chwilami wydawać się mogło przygasłem, w moment później znów jarzyło się, jak słońce. Tak było stale. Ale dziś jesteśmy zmęczeni i nie widzimy jasno jasnych rzeczy...

— Czego nie widzimy? — zapytał dziennikarz. — Widzimy wszystko... tak, wszystko, co jest do widzenia, i co trzeba widzieć. Daj przykład.

— Dam. Naprzykład, wskutek niejasnego widzenia utrwala się mniemanie, że dopiero teraz kraj odnalazł przewodnią ideę, gdy w istocie ta żyła zawsze i żyć będzie wiecznie; inni znów...

Przerwał mi poeta:

— Na miłość boską, tylko nie wdawajmy się w polemiki gazetarskie, przedewszystkiem zaś nie tykajmy tak zwanej polityki. Mamy własną, niezachwianą pewność. Jestem przekonany, że wszyscy inni — również, mimo różnice, rzekłbym, formalne czy taktyczne.

— Popieram poetę — rzekł dziennikarz. — Nie mówmy o tem...

I dorzucił wolno, z naciskiem, stwierdzającym niby wagę niesłychaną nowogłoszonej prawdy:

— Przedewszystkiem nieszczęśliwi mogą i powinni mówić o polityce. Jest to dziś umiejętność specjalna, powiedziałbym, ścisła, powiedziałbym... tak, sztuka wreszcie, niekażdemu dana. Tak. Coś o tem wiemy...

Przed niesforą myślą znowu stanęły słowa: „Tam-tam“ jest wstanie dzwon Zygmunów z przedziwną oddać dokładnością, waży zaś ledwo kilka funtów, i każdy dźwignie go z łatwością...

— Tak, tak — śpiesznie odpowiedziałem. — Zupełna, najzupełniejsza racja. Nie mówmy o tem... Tembardziej, że w toczącym się życiu widzę pocieszającą poprawę: dziś już coraz powszechniejszem staje się przekonanie, że nie zachodzi zła wola z żadnej strony, co byłoby hańbiącym nieszczęściem — niedopomyślenia u nas. Jednakże niektóre wybryki dowodzą, że jeszcze...

— Błagam cię — poeta złożył ręce — nie wdawajmy się w to! Zważ osobliwe warunki dzisiejsze, zważ rozdrażnienia, zważ słabość ludzką... Zważ wreszcie, że nowa dola tworzy się w huku dział, nie zaś w skrzypieniu piór. Zaprawdę, nic z tego, co tutaj my — oderwana cząsteczka — w najbardziej nawet zjednoczonej jedności postanowimy, na przyszłość w najmniejszej mierze wpłynąć nie może. Dziś i tutaj to są naprawdę drobiazgi, niemające znaczenia. Charakteryzują tylko ludzi. Ale o to nam nie chodzi: znamy ich oddawna. Nie mówmy o tem!

Rzekłem:

— Chętnie. Nie miałem na celu wywołania dyskusji w tym kierunku. O ewentualnej szkodliwości niektórych wystąpięń tymczasem zachowam zdanie przy sobie. Stwierdzić jeno chciałem, że idea hasło, o której powiadają, iż jakoby dziś dopiero stała się powszechną, była taka zawsze — przez cały ciąg dziejów. Nic, że tkwiła w sercach w stanie utajonym. Szła jednak praca ciągła nawet w czasach napozór zupełnie zgaszonych. Są to rzeczy zbyt znane, aby je powtarzać. Zmierzam do czego innego. Mianowicie, poważam się twierdzić, że najważniejsze jest samo istnienie idei, wpatrzenie się powszechne w gwiazdę przewodnią. Z tego już wynikać muszą i zawsze wynikają skutki zupełnie realne. Jeżeli były rezultaty nieosiągające celu ostatecznego, miały jednak zawsze wynik istotny: nie dawały zamrzeć idei. Przecież trudno mówić o jakowymś ścisłym terminie urzeczywistnienia zupełnego! Na dziś dość mieć pewność, że jest on niechybny, i że zbliża się może szybciej, niż przypuszczamy. Czy tak?

— No tak — odparł dziennikarz — jeżeli odrzucimy względy ekonomiczne... tak... możliwość istnienia wogóle...

— Wstydź się! Upadły już małoduszne kwilenia natury ekonomicznej: dowiedziono ich bezzasadności. Wystarczy sobie tymczasem — z całą pewnością. A zresztą coraz szerzej jest rozumiana niezbędność urzeczywistnienia prawych pożądań naszych — nie tylko dla nas, lecz dla dobra powszechnego; to nie może się stać ani skutkiem chwilo-

wego kaprysu czyjegoś, ani też skutkiem aktualnej potrzeby czyjejkolwiek: to jest wieczna potrzeba świata.

— O, tak!—dorzucił poeta. — Zaczynają się już wylaniać z mętów dnia argumenty — oh, nie dla nas, dla innych... Bo jeżeli wolnym możemy nazywać tylko człowieka, który uznaje wolność innych, czyliż nie stosuje się to do gromad ludzkich? Czyli można być wolnym na tle obcej niewoli? A czy może kwitnąć pokój i szczęście powszechne, gdy trwa gwałt, gdy mocą fizyczną trzyma się niesprawiedliwość, gdy góruje grabież i zbrodnia? Przyszła ludzkość musi wessać w siebie najlepsze pierwiastki wszystkich narodów, te zaś wsączone w nią będą tylko przez narody wolne, jedynie mogące osiągnąć równowagę wewnętrzną i zewnętrzną. Wolność jest pochodem ludzkości naprzód, wolność wszystkich, z niej bowiem tylko wytrysnąć może twórcza miłość... Powiecie, że to rzeczy znane. Czemuż więc są zapominane?

— Otóż — mówiłem — niedość, że my te prawdy żywo czujemy i pamiętamy. Jest rzeczą ważną, iż poczynają uznawać je inni. Mnożą się oznaki tego. Z różnych stron już w zrealizowaniu naszych żądań widzą niewątpliwe korzyści własne. Nie dla pięknych oczu naszych: dla siebie. Zresztą stać się to musi — wcześniej czy później — jako wykonanie naturalnego, więc niezwalzonego, prawa życia. Przyrodzone prawo istnienia u nas było zawsze silnie odczuwane. Kiedy do oblężonego w Krakowie Czarnieckiego przybył posłaniec Wittenberga z doniesieniem, że kwarciane wojsko poddaje się królowi szwedzkiemu, że zatem na nic zwlekać z oddaniem Krakowa, Czarniecki odpisał, że ludzie są śmiertelni, a Rzeczpospolita wieczna... Myśl ta przebija przez wszystkie karty dziejów naszych. Wówczas to właśnie, kiedy wydawać się mogło, że nietylko nadchodzi, ale że nadszedł już koniec wszystkiego, ta właśnie myśl błyskawicą przeleciała przez mózgi, obudziła serca i z upadku gmach Rzeczypospolitej wyniosła do potęgi.

— Cóż w tem nadzwyczajnego? — przerwał dziennikarz. — W każdej historii odnajdziesz plusy i minusy. Po co

wreszcie wieczora dzisiejszego wywoływać widmo sromoty? Cały ten wiek siedmnasty chętnie wykreśliłbym—tak— z pamięci świata. I klęskę Cecorską, i wszelkie rokosze, bunt Niżowców, i postacie Radziejowskiego, Opalińskiego, Radziwiłła Janusza... Nie przerywajcie mi... Ta hańba Ujścia... tak, kiedy dwadzieścia cztery tysiące pospolitego ruszenia rozpiercha się bez zdobycia broni przed znacznie słabszym Wittenbergiem, ta hańba poddania się Szwedowi całym krajem... tak, to nieszcześnie pierwsze zerwanie sejmu przez posła z Upity... Nie przerywajcie... Historia zapisała, że potem z ogólnej liczby sejmów do roku 1764... tak... tylko siedm doszło do skutku, zerwano zaś czterdzieści ośm! Tak! Wtedy właśnie był dany początek! A nie chcę już mówić o innych sprawach tej epoki, pełnych rozkładu...

— Jakże niesprawiedliwie mówił — zawołał poeta. — Jak można tak jednostronnie sądzić? Miłującem okiem wejrzyj w to krwawe stulecie: ileż w niem cnoty rycerskiej i obywatelskiej odnajdziesz, ile szczytnego poświęcenia i wielkich wzlotów ducha! Tak jest: tło było posępne, okrutne, ale jakże olśniewające światła coraz na niem błyskają! Powiadasz o klęsce Cecorskiej? O tragedji, ostatecznie wywołanej przez zdradę hospodara wołoskiego? A zapominasz, że bohater-wódz, który w tej tragedji zginął, walcząc mężnie, jak prosty żołnierz, na dziesięć lat przed klęską, w początku stulecia, z czterema tysiącami ludzi potrafił zetrzeć w proch czterdzieści ośm tysięcy odsieczy, podesłanej pod oblężony Smoleńsk. A zapominasz o świetnej karcie odwetu za Cecorę, kiedy Chodkiewicz z za okopów Chocimskich, wraz z królewiczem Władysławem i Stanisławem Lubomirskim, nawale tureckiej w trzysta tysięcy ludzi, pięciokrotnie w liczbie słabszy, zadaje cios za ciosem — ciosy tak potężne, że nawet śmierć, która obaliła go na zamku chocimskim, zwycięstwu ostatecznemu nie mogła przeszkodzić. Ostatni szturm odpiera Lubomirski, a wróg zmuszony jest do układow... A pamiętasz późniejsze zwycięstwo pod tym samym Chocimem, odniesione przez rycerza-króla Jana? To już

była potęga. Pamiętaj też, że zdradliwie łamano nam traktaty, orężem wykute, tak ze wschodu, jak na północy od Szwedów, — że znękana Rzeczpospolita opędzać się musiała wciąż, nieustannie, na wszystkie strony, — że z trzech stron działano na jej zgubę, — że kiedy miała chwilę odetchnienia, zaraz poczyniała się urządzać wewnątrz z krwawym trudem i mozołem, — że mimo czasy nietolerancyjne potrafiła uchwalić wolność wyznania dla schyzmatyków, prawo zakładania monasterów i cerkwi, z zatwierdzeniem biskupstw we Lwowie, Przemysłu, Mohylowie... Ze starała się zakończyć przerażającą tragedję zaporoską ugodą w Hadziaczu, ugodą w rozumieniu dzisiejszem nowożytną, chociaż było to za ledwie w połowie potępianego stulecia. Zastanów się! Tu zastosowano w całej szerokości zasadę: „wolni z wolnymi, równi z równymi“... Nie, nie! Nie bądź pochopny do potępień, bo już przed Hadziaczem idea polska, wśród klęski powszechnej, dosięgła szczytu na Jasnej Górze...

— Częstochowa! — prawie krzyknął dziennikarz. — Przecie to legenda! Mówmy o faktach.

Wtrąciłem się:

— Częstochowa to fakt niezbity. Ale cofnijmy się nieco. Czy nie dostrzegasz w owem strasznym *liberum veto* potężnej myśli o zjednoczeniu, o jednomyślności uchwał? Prawda, że broń była straszna, bo obosieczna. Prawda, że walczyły nią — niestety — ciemne postacie, jak ów stronnik Janusza Radziwiłła, Siciński z Upity. Gdzież jednak nie było ciemnych postaci? Oh, nie bronię veta — bynajmniej! A i tak popularna legenda o Sicińskim po śmierci, potępiająca go, jako zdrajcę, dowodzi, jak zapatrywał się ogół na zbrodnicze zrywanie obrad. Zauważ nadto, iż w dziejach długie dla nas stulecia to momenty za ledwie, i przypomnij sobie, że w niecałe półtora wieku po pierwszym zerwaniu sejmu *liberum veto* w karcie konstytucyjnej trzeciego maja znalazło zasłużony zgon. Ale zjednoczona myśl, jednomyślność całego narodu uwidoczniła się wówczas w owem, tak pośpiesznie przez ciebie odrzucanem hasle: Częstochowa. Czekaj... Idzie mi o to, że jeśli jednomyślność nie trwała stale

w innych sprawach, natomiast była i jest zawsze w sprawie niepodległości. To jest widoczne właśnie w stuleciu, o którym mówimy, stuleciu pełnem kontrastów. Upadki i wzloty... Kontrasty też składają się na dusze jednostek. Ileż sprzeczności choćby w Krzysztofie Opalińskim! Cięty satyryk, nieprzebaczający w piśmie ani zbytowi, ani uciskowi i ciemnocie, ani rozwydrzonej wolności, ani nieudolności hetmanów, ani trybunałom niesprawiedliwym, może najlepiej ze współczesnych rozumiejący skutki nierządu — nierządnik w Rzeczypospolitej może największy, oddaje pod „protekcją“ najjaśniejszego króla szwedzkiego pierwsze województwa — poznańskie i kaliskie, torując nieszczęsnej „protekcji“ drogę w głąb kraju. To było Ujście. Zaczem wypadki już niepowstrzymanie toczą Rzeczpospolitą w otchłań upadku. Wśród nawał od wschodu i południa nawał od północy zalewa kraj cały. Już się poddaje Warszawa z Mazowszem, już Janusz Radziwiłł oddaje Litwę, już Karol Gustaw tryumfalnie wjeżdża do Krakowa, poddają się hetmani i wojsko, poddają się województwa: krakowskie, sandomierskie, kijowskie, ruskie, wołyńskie, lubelskie, bełskie... Za niemi idą: brzesko-kujawskie, inowrocławskie, łęczyckie, sieradzkie, płockie, podlaskie, ziemia dobrzyńska... Sztandar niepodległości poszarpany w strzępy....

Przerwał mi dziennikarz:

— Ach, więc to jest owa sławiona jednomyślność! Zaiste piękna!

— Nie przekreślaj rzeczyl — żywo zaprzeczył poeta. — Rozumiem. I widzę w powszechnym mroku wyłaniający się świetlisty obraz Jasnej Góry. Wysoko w górę strzela wieża klasztorna. Na murach ukazuje się procesja. Na przedzie Kordecki, skromny mnich, idzie z monstrancją błyszczącą w jesiennem słońcu — już w obliczu Szwedów, podstępujących pod kruchą napozór warownię, błogosławi klasztor i całą znękana Rzeczpospolitą, błogosławi bliski Śląsk, gdzie Majestat natęży słuch, aby w porę ukazać się z powrotem... A w dole, na całym obszarze kraju tworzy się zjednoczenie serc pod hasłem, rzuconem przez Jasną Górę, — tworzy się, potężnieje i zwycięża!

— Tak — mówiłem dalej. — Jednomysłność w poddaniu się nie była zupełna. Lud nie poddawał się nigdy, i nigdy go o to nie pytano. A łupiestwa, konfiskaty, rabunki, gwałty prowadziły do kroków rozpaczliwych. Lasy kryły w sobie zbrojne kupy szlachty. Starosta Krzysztof Żegocki wycina załogę szwedzką w Kościanie, zdobywa czterdzieści nadciągających tam wozów ze złupionymi skarbami oraz wieszoną tamże zrabowaną wielką sumę pieniężną i obraca nabytek na zaciągi... Budzi się sumienie, wstaje honor! Przetrawienie oblężenia Jasnej Góry od 18 listopada do 26 grudnia całą Polskę rzuca w bój pod sztandarem Częstochowskiej Marji. Na Boga, jest Czarniecki! Wojna staje się ludową. Szlachta, mieszczaństwo, włościanie nizinni i górale — naród cały staje do zwycięskiej walki. Oto jednomysłność, budująca marzony później przez Juliusza Gród Świętego Jana...

Zapałilem światło. Nie sprzeciwia się temu poeta, siedzący z twarzą w dłońiach ukrytą. Mrok pierzchnął i przytulił się za oknami. Już zamilkł oddalony fortepjan, i w ciszy głucho rozlegały się kroki nielicznych przechodniów. Panował spokój, od czasu do czasu przerywany zgrzytliwym przejazdem samochodu.

Dziennikarz zwolna chodził, przystając co parę kroków. Rzekłem doń:

— Miałeś tupet powiedzieć o Częstochowie: legenda... Czy widzisz tę książkę? To dzielna księga Kubali o wojnie szwedzkiej. Zapoznaj się z nią. Ktoś, widzisz, zapewniał, że Kordecki nie istniał wcale. Ktoś znowu mówił, że odejście wroga zpod klasztoru zyskał różnemi drogami okólnemi. Ale wszyscy powinni znać tę księgę, opartą na dokumentach, ścisłą i trzeźwą... Pozwól mi mówić... Zanim odczytam ci parę fragmentów, opowiem wam sen, jaki ubiegłej nocy mnie nawiedził.

Poeta odjął ręce od twarzy. Wyjrzały zmęczone oczy i wlepily się we mnie ciekawie.

— Sen? W Noc Zaduszną? — zapytał.

— Tak — odpowiedziałem. — Sen dziwnie stanowiący jakoby ciąg rozmowy naszej i niejako ją wieńczący... Wiecie,

jak otaczająca obcość wielkiego miasta płoszy sen, tyle pożądaną tutaj. Wreszcie nadszedł upragniony, ale miast zapomnienia i ciszy, miast spoczynku po dziennym rozgwarze, wtłoczył duszę w marzenie o dawno minionych dniach krwi i ognia.

...Ujrzałem się w wielkim gmachu, tak wielkim, że zpod jednej ściany niemożna widzieć przeciwległej, kryjącej się już za horyzontem. To gmach Rzeczypospolitej. Płoniel... Trzy jego ściany — północna, wschodnia i południowa — stoją w łunach pożaru ogromnego, gdzieś niegdzie uciszającego się chwilowo, by za moment — z rzedających już kłębow dymu — wystrzelić nową pożogą. Wśród syku płomieni, trzasku walących się wiązań, jęku zapadłych rumowisk, gwałtu bijących na trwogę dzwonów, wśród gromów wystrzałów, świstu strzał tatarskich, okrzyków przebiegających zbrojnych, płaczów niewiast, charczenia konających — uwijają się ciemne postacie łupieżców. Szakale skradają się po łatwą zdobycz, gdy płomienie coraz zwężają wolną przestrzeń, coraz dalej wsączając się we wnętrze, gdzie coraz buchają sycone miejscową ręką pożary...

Pełne przerażającej grozy obrazy tłoczą się bezładnie. Tytaniczne walki zbrojnych mężów, kłębowiska poległych ciał, korowody krwawych widm... Wtem z hukiem nieopisanym wali się z trzech stron płomieniem ogarnięty dach. Tu i owdzie wyblyskują języki ognia, liżące już martwe rumowisko. Kłęby siwego dymu wiją się niby cielska potwornych węzów, a skaczące wśród nich iskry gasną powoli. Spopieloną ruinę obejmuje ciemność i cisza... Lecz ze środka poczyna bić słaby, za chwilę silniejszy, coraz potężniejszy, wreszcie wstrząsający mocą, spiżowy głos dzwonów.

Obraz nagle się zmienia. W mrocznej przestrzeni metalicznie połyskuje czerwona księga, jakoby w jej wnętrzu przelewał się ogień pod przezroczystą okładką. Z księgi w snopach iskier wyskakują płomieniste głoski i układają się w wyrazy. Wyrazy stają w rzędach. Czytam:

„Historyk szwedzki Carlson znalazł w papierach kanclerza Eryka Oksentjer-

ny plan podzielenia Rzeczypospolitej na części, które król pośrednio lub bezpośrednio z koroną szwedzką połączyć zamysłał. Według tego planu Prusy królewskie miały zostać szwedzką prowincją, podobnie jak Inflanty szwedzkie i Estonja. Obok nich zamierzał król zająć szeroki pas ziemi od Noteci i Warty do Niemna i Dźwiny, złożony z części Wielkopolski, Mazowsza, Litwy i polskich Inflant, a do tej szwedzko-bałtyckiej prowincji miały należeć Prusy książęce i Kurlandja. W tych wszystkich ziemiach zamysłał król zakładać kolonje wojskowe, złożone...“

Z sykiem iskier dłoń niewidzialna odwraca płomienistą kartę. Czytam dalej:

„...z Niemców i Szwedów (wzorem Gustawa Adolfa w Inflantach r. 1626), aby je powoli sprostanzycować. Co zrobić z resztą Polski — na to nie było decyzji i czy Małopolskę aż do Krakowa poddać pod bezpośrednie rządy szwedzkie. Pozatem istniał zamiar utworzenia trzech lub czterech mniejszych księstw lennych, prawdopodobnie dla członków domu królewskiego, w Mazowszu, na Podlasiu, Polesiu i Litwie, a wreszcie niektóre części Polski zamysłano odstąpić Brandenburgji, Kozakom i Rakoczemu, o ile jako sprzymierzeńcy na to zasłużą“.

Jeszcze snop iskier i widzenie znika. Lecz głos dzwonów bije coraz potężniej, aż wreszcie zrywa męczący sen...

Wstał dzień późny, mętny, z trwającymi dźwiękami dzwonnymi, zlatującymi się tu z pobliskiego placu i biegnących obok ulic. Każdy ranek tutaj jest przepełniony tą muzyką...

Czy widzicie okropność słów, które — przed zaśnięciem wyczytane w księdze — we śnie stanęły przedemną, jako płomienista groźba? Czy to nie był przewidywany koniec, poparty wielkimi potęgami fizycznymi? Dodajmy, że w Rzeczypospolitej nie wiedziano o tych planach; przeciwnie: słyszano zapewnienia o złotych górach wolności. A jednak...

— A jednak — pochwylił poeta — w całej ojczyźnie, z pałaców wiernych jej magnatów i z dworów szlacheckich, i z izb włościańskich, z pól i lasów, z nizin i z gór — wszędy bił w powietrze — w odpowiedzi na przeczuwane, niewiedzieć skąd, zamysły — wielki, przeczący

krzyk: Niel Krzyk prawych serc polskich, niepodległych serc. Niel... Ten krzyk wielokrotnie potem rozlega się w dziejach i brzmieć będzie, aż się czasy wypełnią...

Dziennikarz się skrzywił.

— Niestety — wycedził ironicznie — niema dziś Jerycha, któreby od krzyku paść mogło.

— Mylisz się. Jest i pada: obojętność dla bezprawia i zbrodni. A w stuleciu, które tak potępiasz, powszechny krzyk doprowadza do faktycznego oczyszczenia gmachu Rzeczypospolitej z robactwa wrogów. Wiesz przecie, jak wszystko zostało wymiecione.

— Wiem, wiem — odparł tym samym tonem — ale nie krzykiem. Tak... Więc twój historyk jest wyznawcą... tak... tej teorii krzyku?

— Mój historyk? Przeczytam ci... Pamiętaj, że jest on uzbrojony w pewne i trzeźwe dokumenty. Oto:

„W roku 1655, kiedy król szwedzki w dwóch miesiącach, niemal bez zdobycia broni, zajął naszą Ojczyznę, kiedy Jan Kazimierz uszedł za granicę, a województwa, wojsko, hetmani uznali panem swoim cudzoziemca, ubogi zakonnik podniósł sztandar niepodległości i stanął do walki z najeźdźcą „za wiarę, ojczyznę i króla“, a naród nasz, staczając się w przepaść, chwycił się ręki zakonnika: bo w czasach upadku, kiedy wszystko niepewne, niebezpieczne i ludzkim rachubom niedostępne, gdy serce cięży, a skrzydła rozumu zakrótkie, wtedy jedynie szczęście-opatrność ratować zdolne, dając człowiekowi z niezłomną wiarą, który przy lada sprzyjającej chwili jednoczy naród i prowadzi go na właściwą drogę. Rzadko się zjawia taki. Czas czeka na niego i śpi, ale pamięć o nim czuwa przez długie wieki“.

— Pamięć czuwa przez długie wieki... — powtórzył poeta. — Czy nie widać tu rzeczy przedziwnej: duch, jednoczący w ogromny zespół serca dążące do wspólnego wielkiego celu, — mimo wszelkie zabiegi przeciwników, mimo ich moc fizyczną — łamie zapory i kruszy przeszkody, wpatrzony w jedyną gwiazdę przewodnią. Czy nie jest to najsilniejsza z warowni, warownia męźnych serc, wier-

nie stróżująca, wiecznie czujna? Na jej zew tężeją ramiona i znajdują broń zwycięską... A gdy myśl przebiega dzieje owego stulecia krwawego, czy z kart o dawno minionych chwilach — żalonych i pełnych chwały — nie dobiega uszu waszych, wraz z echem dzwonów częstochowskich, głos mówiący do dnia dzisiejszego: Zali, Polsko, ogniem i żelazem objęta, kiedy wszystko niepewne, niebezpieczne i ludzkim rachubom niedostępne, gdy serce cięży, a skrzydła rozumu zakrótkie — zali najdujesz człowieka z niezłomną wiarą w Ciebie, który naród zjednoczy w jednym najmocniejszym pragnieniu?

— A wówczas — mówiłem dalej — w potężnym wieku, w momencie przemowym, niezdobytą warownię serc dźwignęli dwaj ludzie wierzący, iż Rzeczpospolita wieczna: Czarniecki i Kordecki. Obaj czar niecili prostem i czystym sercem — kordem niezłomnym. Czar ten trwa przez wieki. Historyk podnosi, że w djarjusz obłężenia Jasnej Góry, który Kordecki znajdował czas spisywać, i który następnie był wydany z dedykacją Królowi Jegomości, autor nie mówi prawie o sobie. Dopiero Stanisław Kobierzycki, wojewoda pomorski, w wydanym w roku 1659 opisie obłężenia, po zwiedzeniu klasztoru i ścisłym zbadaniu rzeczy, z uwielbieniem opowiada: „Zaprawdę dziwić się można, skąd takiego doświadczenia tak nagle nabył człowiek, całe życie zamknięty w klasztorze. Prawdziwy cud, że Bóg dla ponizienia pychy nieprzyjaciela natchnął do walki z doświadczonym wodzem pokornego zakonnika, bo zaprawdę, chwałę zachowania Jasnej Góry jedynie czujności i zabiegom Kordeckiego przypisać należy. On wszystko do obrony przygotował, pozycje dla armat i stanowiska załozde naznaczył, szopy pod murami z ziemią zrównał, robotników i strażę nocami doglądał, żołnierzy słowem i hojnością zachęcał, szlachcie zniechęconej serca dodawał, a kiedy w końcu strach i zwątpienie poddać się i bramę otworzyć radziły, on się oparł i na swoim postawił“.

A Czarniecki? Sławny już z wojny z Gustawem Adolfem. „Walczył w Prusiech z takim męstwem, że się starzy

żołnierze dziwili: czy infamis dla odkupienia swoich zbrodni taką odwagę czyni?“ Słynął, jako wódz szczęśliwy i żołnierz nieustraszony, a czasu wojny szwedzkiej, o której mówimy, stał się bohaterem narodowym.

„Stalowy człowiek, wierny królowi swemu, z natury do wojny stworzony, ogniem tchnął zamiast duszy. W radzie i zamysłach skryty, trzymał się niewzruszenie tego, co raz uznał za dobre i potrzebne, i tą drogą szedł bez wahania. Tu było źródło jego szybkiej decyzji, którą bez zwłoki w czyn zamieniał. Mógł być o sobie powiedzieć: *volo ergo sum*. Mało mówił; parady, samochwalstwa i długich oracji nie znosił, przykładem świecił, odwagi drugim udzielał. Sam nieustrudzony wojsko nietyle surowością, ile nieustanną pracą w karności utrzymywał.

Żołnierze w szczęście jego wierzyli, kochali go i czcili, bo ich do sławy i zwycięstwa prowadził. Starym go dziadem zwali dla jego doświadczenia — trzepaczką, że niespodzianie na wszystkie strony uderzał — lisem ostrożnym, Lisowskiego zabytku żołnierzem.

Jan Chryzostom Pasek opowiada, jak Czarniecki walczy, „jak z wesołą twarzą i zakasanemi po łokcie rękami prowadzi swoich do boju, jak ich pobratersku zachęca i dodaje odwagi, jak z nimi żartuje i śmieje się srodze, gdy co wesołego usłyszy, jak karze i brodą kręci w alteracji, jak uszy czapką zatyka, gdy go tłum zbawicielem okrzykuje“...

Powiedzcież, zali tych dwu serc żelaznych mało, by cieniem ich okryć niesławne cienie szakali stulecia owego? Patrzcież, co zdziałył...

A przecież, kiedy wstają w pamięci, gdy o „wieku upadku“ mowa, okryte pleśnią grobów widma, czy nie nasuwają się inne, równie świetlane postacie, syntetyzujące myśl i moc narodu, czy nie wyblaskują z mroków płomiennemi głoskami imiona: Żółkiewskiego, Chodkiewicza, Sobieskiego?... Mimo wszystko stwierdzić musimy, że późniejszy Chocim i jeszcze późniejsza odsiecz Wiednia — wszystko w obrębie tego wieku — to już potęga, a Żółkiewski, Chodkiewicz, Kordecki, Czarniecki, Sobieski — to wielkie hasła. Czy tak?

— Tak! — odrzekł poeta, którego oczy, przedtem tak znużone i przygasłe, błyszczą teraz, jak gwiazdy.

— Niemożna zaprzeczyć — ociągając się, dorzucił dziennikarz — że w pewnych razach... Zapewne...

A poeta mówił:

— Wielkie serca! Wielkie hasła! Naród, tworzący takie hasła, nie ginie: to jasne. I mimo całą gorycz, płynącą z kart stulecia tamtego, mimo gorycze późniejsze i może właśnie skutkiem tych goryczy — jakże czuję, jakże wierzę, jakże wiem, iż wiek dzisiejszy niesie nam świt odrodzenia. „Bo słuchajcie i zważcie u siebie, że, według bożego rozkazu, kto nie doznał goryczy ni razu, ten nie dozna słodyczy w niebie“. Gdy więc

rzucam z utęsknionej duszy pytanie: czy wypełnia się czas próby i męki, — widzę: rozwiera się już niebo wyzwolenia... rozwiera się za cenę stężalej mocy warowni serc — Niewiadomy jest jeno bliższy dzień i godzina...

.....
Gdyśmy się rozstawali, dziennikarz, ściskając nam dłonie, zwrócił się do mnie:

— Sen swój powinienes opisać... ze ścisłymi komentarzami.. tak... i z wnioskami... Z prostotą... Tak... Napisz to...

Napisałem.

H. St. Pytliński





ZWIASTOWANIE

Okopy ciągnęły się wskroś przez bagnistą dolinę w stronę wsi na wzgórzu, złupionej i spalonej. Z cerkwi litewskiej i dzwonnicy drewnianej w malinowym chróśniaku zostały tylko zgliszcza, a gęste rzędy drutów kolczastych oplątywały niskie krzyże chłopskich mogiłek, męczeńsko poniewierając cmentarz.

Niedaleko czerniał dwór z rozdartą ścianą. Tapeta, która wystawała przez rozdarcie, wyblakła; była ongiś różowa, jak barwa kwitnących jabłoni, i należała do alkowy dziewcząt, cichego, najcichszego kąta polskiego domu. Rozwalony kominek czerniał przy ścianie, a na podłodze, złanej przez deszcz i pokrytej sadzami, wały się książki, spadły z jakiejś półki i listy jakieś czy papiery, może rodzinne, może bardzo pamiątkowe. Z obrazu w złocistej ramie wyjęto może jedyną relikwię, z którą się uszło, ratując życie.

W sadzie drzewa popalone i przez granaty niemiłosiernie rozdarte, a na końcu sadu czy ogrodu altana kulami podciętych nogach, i ule spadłe z pieńków niedaleko tarzały się w błocie, przewrócone na ścieżce, z której oko widzieć mogło owe mogiłki w chróśniaku malinowym, pokrajane przez zasięki druciane.

W okopach żołnierz szeptał do siebie: tu jest ziemia poświęcona, ziemia

polskich relikwii, tu mieszkała Maryla Wereszczakówna, a tamta altana, którą widać...

Powtarzał słowa poety:

Obraz tego rozstania dotąd w myśli
stoi.

Pamiętam śród jesieni... przy wieczornym
chłodzie;
Jutro miałem wyjechać... błędę po
ogrodzie.

Jutro—rzekłem—jutro jadę!
Bądź zdrow!—odpowie zcicha: ledwie
posłyszałem.

Zapomnij! Ja! Zapomnę! O! rozka-
zać snadno!

Od szeregu dni żołnierz leżał w okopie pogrążony w błocie. Widział już wiele strasznych rzeczy i jego serce krajało się na widok wielu nieszczęść, które oczy oglądały, i na wiele męczeństw, które nie wyzwały z nieba jednej odpowiedzi; ale tu, w okopie, kiedy spoglął na pamiątki narodu, świętości najbardziej wewnętrzne i dyskretne, wydane nagle na pastwę deszczu, wiatru i pożaru, wzburzył się już tylko w sobie, naprzemian zapadał i podnosił. Jego głowa była zmęczona myśleniem, a odetchnąć nie mógł i nie mógł tej głowy wychylić nad ziemię, bo z drugiej strony okopu

czyhały wilcze źrenice, aby wypalić i śmiertelnym nabojem rozerwać go i poszarpać zbójcecko.

Zwątpienia urodziły się od kilku dni. Wsłuchiwał się w świat, który niósł zdala głuchy odgłos strzałów. Zasięki druciane drgały na wietrze zgrzytaniem zjadliwie szczerzonych zębów, ale to, co w nim samym wstało, było straszliwsze, bo prowadziło poprzez jedno i to samo myślenie, bez chwili spoczynku, jak białe niedźwiedź wciąż odnowa szukający za wyjściem, na kraj oblędu.

Powoli zapadła noc. Niebo rozkryło się, gwiazdy rozwarły spokojne, ciche kielichy.

Zołnierz wpatrzył się w gwiazdy, oddalił od drucianych zasięków, artyleryjskich rowów, całego piekła okopów. Uciszył się wewnątrz. Stracił ziemię pod sobą i wszystkich obok siebie leżących kolegów po broni, wpatrzonych przed się czujnie z nasadzonymi bagnietami i lufami gotowemi wypalić.

Gwiazdy miały moc nad nim. Najbardziej wielkimi spojrzzeniami ciągnęły do siebie, wabiły nieledwie, pociągały kosami drogi mlecznej, aż się złączył z niemi, aż wdał się w tę przedziwną rozmowę, już bez słów, którą zna jedynie serce człowieka, gdy przestąpi przez odwieczny próg.

Minęło kilka godzin. Zbliżyła się północ. Warty prostowały się w milczeniu. Znikąd nie dolatywało strzelanie; w okopach przeciwnych grobowa panowała cisza.

Zołnierz drgnął. Przed sobą ujrzał zjawę, znajomą twarz. Zbliżyła się ta twarz, błysła jasnością przed nim, znajomymi oczyma wpatrzyła się w jego serce. Widmo przemówiło:

— Jest północ. Zesłany przez gwiazdy staję przed tobą, przy dobrze mi znanej altanie i przy ścieżce, którą niegdyś przebiegłem, myśląc, że nie ocaleę siebie z piekła. A jednak nie dałem się opętać mrokom i falom jakiegoś oblędu. Pytaj, będę odpowiadał. Gwiazdy dały mi rozkaz nie zataić przed tobą odpowiedzi i otworzyć tajniki prawd. W zasadzkę myśli cię wciągnęły, gryzą jak dym, zawsze gotowe kąsać i szarpać serce. Pytaj, północ uderzyła, warty stoją

czujnie dokoła, a ty władasz tej nocy prawem pełnego pytania.

Zołnierz utkwiał oczy w twarzy, która się nad nim schyliła. Przez chwilę drgały jego wargi nerwowo, szukał słowa w sobie, szamotał się ze sobą samym, aby móżdż bez ogródek, w pełnej prostocie, dobyć ze siebie słowo, któreby się nakrywało najpełniej i najprawdziwiej z tem, co czuł i pragnął wyrazić.

Duch pochylił się nad nim bez szelustu.

— Dusza twa przeszła przez niebieską bramę, uśmiechnęła się do gwiazd. Bezwiednie prosiła o pomoc, drgnieniem niewinnego serca kołatała o ratunek. Gwiazdy mię zesłały, pytaj, czas uchodzi. Odpędzę czarne myśli.

Zołnierz podjął się nieco, jak pragnący, i przez chwilę mocował jeszcze ze sobą wstydliwie. Nagle rozwarł się krwią ciepłą, cichą.

— Dostałem się tu do okopów. Nikt mnie do tego nie zmuszał. Jestem wolontariuszem. Od kilku dni spadły na mnie niepewności, zwątpienia, czy nie błędzę, czy nie popycham Ojczyzny do zguby?

I tak jakimś błagalnym wzrokiem wpatrzył się w oczy przed sobą i tak jakąś żalną falą wyrzucił ze siebie, zlekły kwiat pytania, że widmo białe pochyliło się już najbardziej miękko i matczyńnie nad tym człowiekiem, niedawno w szkołach jeszcze, teraz w półzamarzłym błocie, steranym nie przez głód i zimno, rosę i wiatr lub niespanie i rany fizyczne, ile przez mękę, którą zna jedynie dusza człowiecza, która o siebie już nie dba i nie walczy o skórę własną, ale już drży o innych i o rzeczy święte, sercem drży, aby nie przyszedł jaki mroźny wichur i nie ściał i nie zwarzył gałęzi wysnionego drzewa, i aby z nowem słońcem nie sterczały tylko szkielety obumarłych gałęzi, mogące już być tylko odcięte i odłączone od tego, co żywe, może już nawet zagrażając życiu samego pnia, związanego z ziemią.

Cichym głosem spowiadał się:

— Mówiono nam zawsze, że przyjdzie godzina święta i górna. Tyś sam swoje wiersze w tym duchu układał i zaszczepiał w nas tęsknotę do lotu.

Wehłaniałem te twoje słowa, piłem z nich nieśmiertelną ambrę, która z nas bogów uczyni. Byłeś dla mnie zawsze jak ten kapłan-wajdelota, najwyższy kwiat narodu, który mozoli się całe życie nad tem, by Bóg wreszcie zapalił stos, na którymby można umrzeć za Ojczyznę, spalając równocześnie wszystko, co złe, marne i szkodliwe, zostawiając dla pozostałych tylko wielkie wspomnienie i drogę z ognia, obowiązującą i jak słup ognisty rozpraszającą mroki i ciemności. Zdawało się, że dobrze czynię, gdy znajdę się wśród innych żołnierzy i swą krew ofiaruję dla Niej, której wymawiać się nie godzi, właśnie dlatego, że jest żywa i obecna i nie schodzi na chwilę z myślenia. Oszaleć można. Wstały wątpliwości, czy tam, w drugim okopie niema przypadkiem mego brata, i czy nie celuje we mnie, nieświadomie, bratobójczo, a ja w niego, i czy my obaj, w ten sposób pracując dla Niej, nie zmienimy wreszcie tej ziemi na jakieś piekło, jak owi bracia Polinejkes i Eteokles z Teb, po których śmierci przyoblekło się wszystko jedną żalobą, tak że pozostałe siostry mogły tylko klęknąć przed dwoma trumnami i zawodzić bezbrzeżnie smutną litanję:

Rażonyś padł—zabijając padasz —

Zadałeś krzywdę — krzywdy ty doznałeś! —

Boże! Jestem w jakiejś ciemności, która podniosła się teraz we mnie i krączy nad uchem jak wrona. Lamenty są długie wiatru, wczesna jesień traci coraz bardziej fiolety i kadmium, a mgły listopadowe, które ciągną, stoją nademną i spadają wilgotnemi szyjami, z jakimś trupim zapachem, tak że we mnie prostuje się przeciw nim czarna rozpacz i właśnie ta rozpacz płodzi węże myśli, które spać nie dają, a toczą krew już nie jak wampir lub empuza, ale do dna i szpiku kości bezustanku szarpiąc mnie całego na sztuki, wgłębiając szpony w wątrobę, dostając się w najgłębszy miąższ trzew, które zaczynają drgać z przerażenia, że może nie zdołają zrzucić ze siebie zmyry, która szarpie i rozdziera i nietylko samą krew chłepce. Chór czarnych ptaków spadł na mnie i nie mam zaklęcia, aby odpędzić: kysz, kysz!

Widmo podniosło rękę.

— Wierzysz w nieśmiertelność Polski?

Żołnierz bez zająknięcia odpowiedział:
— Wierzę!

Nastała krótka chwila ciszy, zebrania się i skupienia. Rozpoczęła się ta jedyna rozmowa w noc głuchą egzorcyzowania Zła.

Myślenie zabija się myśleniem, niczem innem. Myślenia niemożna gwałcić, przytłaczając do ściany i wołając: giń. Myślenie zgwałcone prostuje się i gryzie dymem i kąsą mściwością ruchliwej, a chłodnej natury. Myślenie można tylko zająć myśleniem, a przez ten czas zniecka, modlitewnie otworzyć serce.

Duch mówił:

— Nie ty jedynie pijesz z kielicha gorzycy. Każde pokolenie znajduje przed sobą ciężkie dzwiera budynku, do którego pragnie wtargnąć. Aby wiedzieć, jak dostać się do świetlanej budowli, należy ją zawsze odnaleźć w sobie samym. Budynek wymarzony może być tylko rozwiązaniem przez nas samych. Trzeba gmach ojców rozpatrzyć, dotknąć się fundamentów, podnieść poprzez ściany, które chcemy budować, aż do dachu, który ma być zakończeniem budowli i musi być wyrazem głębokiej własnej treści. Fundamenty są stworzone od wieków i nietknięte. Ściany zaczęły się zewsząd podnosić, ale dach stawiany przez ojców naszych, komponowany był według wzorów obcych i dlatego porwał go wiatr jesienny. Dach budowli polskiej może być tylko wysoki, z szerokim rozmachem do ostatka dźwignięty pod niebo, na tle chmur wyglądający, gdyby okręt ruchomy z ruchem wiosel i śpiewem odwiecznym.

Czy nie słyszysz skupionego chóru całego narodu?

Daj na świecie zbożny pobyt,

Po żywocie Rajski przebył:

Kyrie Elejson —

Widmo pochyliło się, aby mówić cicho, objawieniem promiennem.

— Zacznijmy od fundamentów. Wyhodowała nas równina. Pytasz: gdzie? kiedy? Czy nie błąka się w tobie nuta

odwieczna szerokiego stepu, na którym tabuny dzikich koni przeganiały pustopasz? Może nad jakąś rzeką wielką, może nad Dunajem, którego pełne są wspomnień śpiewy ludu polskiego. A zawsze w słońcu.

Pod słońcem, wysoko na niebie, piliśmy szeroką wolność, nie tęskniąc do jasności, mając te jasności dokoła, z rozległym widokiem bez granic. Mogliśmy harcować na wszystkie strony i równocześnie wzbijać się wolą skrzydlatego lotu w niczem niezasłonięte obszary nieba, na których krótkiej świętojańskiej nocy na zachodzie gasły Zorze, aby niebawem cudem przenieść się natychmiast na wschodnie niebo i tam rozpiąć różową tkaninę jeszcze światlejszą.

Pomyśl tylko, gwiazdy blednieją... ognisko popieleje... mgły jakieś wiatr zrywa, a koń grzebie nogą i zrywa się do sarmackiego lotu Leszków konnych, który jest w nas zawsze i na dnie natur nigdy nie zamiera, nawet gdy nastaje mrok jesieni. Hej! czy nie słyszysz echa w nas samych, pędu, który rwał konnicę polską pod Kircholmem, skrzydłami niósł pod Wiedeń, jak grom spadał pod Samosierrą!

— Zatem swoboda bezgraniczna jest fundamentem narodu — powtórzył żołnierz—lot skrzydlaty na nieskrępowanym Pegazie, szal syna apolinowego, który dorwał się do ognistego rumaka i wzbil na niebo, drząc z radości, że Bóg pozwala mu odbić się od ziemi. Wiem, wiem, ten szal zaniósł mnie do okopów. Powiedz dobremu duchu, czy naprawdę nasza natura nie może zawrócić, przeobrazić się w pętlanie?

Żołnierz pytał, Duch odpowiadał:

— Przelatujemy przez wieki. Lecimy ciągle nieśmiertelnie. Polska nie zaczęła się wczoraj i nie zaczęła się z Mieszkiem, który wziął na siebie białą albę chrztu kościoła. Byliśmy już setki razy przedtem w burzach, teraz pędzimy znowu pośród takiej burzy, i zdaje się nam, że nastał jakiś koniec, a rozpoczyna się jakiś początek. Niema początku i niema końca, bo ciągle pędzimy i przelatujemy raz przez jasności, raz przez ciemności. Ściemnienia listopadowe wstają na naszej ziemi co tysiąc lat, i Polskę historyczną

poprzedza szereg dawniejszych żywotów. Zapadamy w sen, budzimy się znowu, stajemy do żniwa i znowu zapadamy w ciemności i składamy głowę sennie, i to stanowi jeden żywot.

Rozumiesz mnie? Co tysiąc lat budzimy się i co tysiąc lat zapadamy w letarg, z którego na nogi podnosimy się gwałtownie, drząc z przestachu, czyśmy nie zadługo spali? Rozumiesz? Tysiąc lat stanowi dla nas jakiś mistyczny rok polski, już nie rok skupiony z trzystu sześćdziesięciu pięciu dni ze zwykłymi porami roku, ale szeroki, z tysiąca takich lat skupiony wielki rok, gigantyczny, olbrzymi, ale także mający swoją wiosnę, swoje lato, jesień i zimę.

Czy nie przyszło ci kiedy na myśl, że piorun Chrobrego wypadł z wielkopolskich lasów tak, jak burza wiosenna, która niesie zapach świeżych pączków i zmusza lody do tajania, poprostu całym krajem wstrząsa, aby zerwał białe okowy, lub że miłość Barbary i Zygmunta jest na niebie polskiem tem, czem noc świętojańska z ogniów i jakichś czarów, — że potem następuje święto jakiegoś żniwa, i że błąkanie się i ściemnianie całej Polski Sasów przypomina jesień, porę wesel chłopskich i wicherę, w której psy coraz głośniej zaczynają ujadać, i wilki coraz większemi stadami się gromadzą, i że teraz jesteśmy u szczytu, kiedy nowe słońce się rodzi, i kiedy serce wyczuwa balsam zbliżającej się wiosny, prawdziwy początek znowu tysiącletniego oddechu? Z gwiazd idę i pouczam cię o nieśmiertelnych oddechach tej ziemi.

Żołnierz mówił:

— Przemawiasz do mnie językiem, który dawno przeczynałem. W księgach starych jest mowa o dziewczętach, które z kraju na północy zawoziły zbożową ofiarę odwiecznych jakichś dożyneków do słońcowego Apollina na morzu, na archipelagu, już daleko od Wisły, a przecież boga wciąż bliskiego, wciąż swojego i własnego. Czulem zawsze, że to z Polski jakiejś w mgłach historii drogą bursztynową na Spiz i Adriję wysyłane były dary dziękczynnego serca: poprostu z owej Tracji mistycznej, o której mówili Grecy, a którą umieszczali za Dunajem, gdzieś na północy, zawsze z szacunkiem najwyż-

szym zaznaczając, że to jest ziemia narodu, który wierzy w nieśmiertelność duszy i czci tak wysoko słońce, że Orfeusz, który przybył z tego kraju ze swą harfą łabędią, był sam jak widzenie tegoż słońca nad dojrzałym zbożem.

— Tak! — przerwał Duch. — Polska zawsze miała za dogmat wiarę w nieśmiertelność duszy i posiadała święta dla umarłych: żalniki, prawieczne Dziady, po których następują lelniki — gody. Przed tysiącami lat ustanowił był jeden z Duchów tej ziemi żalniki podczas jednego z pierwszych listopadowych ściemnień. I dziś jest noc żalników i twoje serce bezwiednie podniosło oczy do gwiazd, tak, jak czyniono zawsze na tej ziemi, gdy dusza stawała się obłąkaną przez jesienne ciemności i chaotyczny szum wiatru i wpatwienie się w te piekielne łąwy, gdy naga różga świszczę w borze i na wietrze wyje żałośliwie, straszliwie przeciągle i jednostajnie.

Dusza słońcowa jest istotą Polski; tajemnym fluidem nieśmiertelnego jej wzrostu, zaklęciem najistotniejszym tak podczas ściemnień, jak i podczas zjaśnień. Przyjmij tę prawdę i nie wątpl!

— O tak! — zawołał żołnierz. — Wzięliśmy niegdyś słońce w siebie i to słońce wśród wszystkich narodów na północy trzymaliśmy niewzruszenie. Bezgraniczna swoboda polska była wyrazem tego słońca. Byliśmy dziećmi słońca, czyż nadal jesteśmy? Żeby jaka pewność!

Duch ciągnął dalej:

— Słońce zakłęte jest w duszy polskiej. W wolności przeobraził się swobodny człowiek na rolnika, równina bezsilna nauczyła dobywać zbóża z ziemi, złote promienie zakończone ziarnem, modlitewnie dźwignięte w górę na spotkanie tych drugich złotych promieni, spadających już z góry. Księgi stare, o których wspominałeś, mówią nie tylko o darach owiniętych słomą pszenicy krainy Hyperboreów, ale i o tem, że sam bóg słońca na kolasie, zaprzęgniętej w łabędzie, odwiedzał swój wierny lud na północy i stamtąd dopiero, pełny radości po chatach usłyszanego śpiewu prządek, wiosną powracał do Delf lub Delos, gdy rozkwitały narcyzy kastalskiej krynicy.

Chłop polski, pochylając uznojone czoło nad ziemią, zatracił coraz bardziej pierwotną ruchliwość, choć zachowywał zawsze głęboko w sobie zaródź pierwotnej ruchliwości, mogącej być dobytą każdej chwili z powrotem. Stawał mu do obrony ten, który lotność pełną skrzydeł zachował, — ptak rycerski broniący oraczy, czujnie wyprostowany nad krwią swą własną bratnio pochyloną na zagone, karmiącą wszystkich i będącą już pnem podstawowym drzewa całego, którego strzeliste gałęzie w swem wzbijaniu się w górę pokrywały się coraz bujniejszymi liśćmi, aby brać od słońca nektar nieśmiertelny, zawsze w cyrkulacji spływający w stronę korzeni, wdzięcznych teraz z kolei za balsam i rosę, które pozwalały strudzone czoło podnosić od ziemi w stronę gwiazd i dziękować w żarliwej modlitwie niebu, że ma pieczęć nie tylko nad ciałem, ale i nad duszą, całym drzewem.

Nietrzeba szukać najazdu jakiegoś i połowy narodu całego oskarżać, by mogła być zdolną obcych ludzi między siebie przyjąć i barwy obcego ducha wiązać z dolą swego przywiązania do ziemi. Naród jeden i ten sam rozszczał się zawsze na dwie połowy czy klasy w myśl żywołów nad sobą i pod sobą, tworząc hierarchję z krwi jednej i tej samej, tęczo mięniącą się i w składowych swych częściach do najwyższego stopnia ruchliwą, odnawiającą się wciąż płynięciem jednych cząsteczek w górę, a drugich w dół, zwłaszcza podczas epok przesilenia. Muzyka, która wypełnia życie wewnętrzne domu naszego i własnego, złożona jest z dwu melodji, związanych w formie fugi; melodje są zawsze żywe i obecne, choć raz jedna głośniejsza, to znowu z kolei druga w swych barwnych tonacjach; płyną głosy, wiążą się z sobą przedziwnie, wzajemnie się mociują, nawet ze sobą walczą, odcinając się wyraźnie, czasem gwałtownie i ostro, aby znowu zbliżyć się, nawet przenikać jedna drugą, tworząc błogosławiony ruch obu warstw we własnym domu, kiedy prawo grania zależne jest tylko od własnych sił i własnej ziemi, a nie miesza się między nie z obcym duchem związane opętanie czy urok, nakształt owego przyćmienia ducha

narodowego, rozpoczętego polknięciem najstraszliwiej obcej tezy renesansowej: panów i niewolników, tezy rzymskiej, która nagle wszystko, co było ruchliwe, ścięła w jakieś skostniałe prawo bezruchu, w budynek o martwym dachu, w którym prawa obce na kamiennych tablicach nie mogły obłądnie nie prowadzić Polski do nieuniknionej katastrofy!

Zaprawdę powiadam ci, migracje obcych wpływów, na które dusza wyższej części narodu zawsze była niezmiernie wrażliwa, nie do yczą tylko Polski, która zaczęła się od Piasta w Kruszwicy i Mieszka w Gnieźnie. Były one już w poprzednich żywotach.

Noc stacza się już w stronę świtu, tak że niema czasu, aby ci opowiadać o pierwszych żywotach w łonie mgławicy słowiańskiej nad Dunajem, ani o tym żywocie pierwszym, o Polsce Faetona, w której syn dorwał się do ognistej, ojcowskiej kolasy i wyjechał tak wysoko na niebo, że spadł i utonął w Wiśle, tak że heljady-lechjady, rozpuszczając włosy płaczących wierzb, jęły ronić łzy ciężkie, krople bursztynowe, które zawsze tradycja grecka wiązała z wielką katastrofą nad Wisłą—Erydanem (słyszysz znowu: Danem, Dunajem!), przesalanem wlececiem na niebo i potem gwałtownym upadkiem, pożarem całego świata.

Niema czasu także, aby ci opowiadać o Polsce, wysyłającej do Rzymu drugiej inkarnacji, do Delos, ofiary dla przebłagania boga i odwrócenia gniewu za szalony pęd, który cały świat kosztował, albo o Polsce amfiktjonji świętej Lygów-Lachów za cesarów rzymskich, gdy w gaiku-maiku kapłan Łady modły składał dziękczynne przed posągiem ojca i syna, już dwu braci pogodzonych Lelum i Polelum, postaci świetlanych nakształt Kastora i Poluksa, wpatrzonych miłośnie w siebie i opierających ręce na włóczniach obok białych koni. Tasama Polska jest jeszcze w kontynach nad Bałtykiem, w których biały koń i włócznia są echem świetlanego czynu smokobójcy Krakusa, a stos opodal zapalony wspomnieniem ognistego słupa mogiły Wandy nad Wisłą.

O, przedziwne są żywoty, coraz nowsze inkarnacje narodu!

Greckie mity są pełne wspomnień odwiecznych: Grecy bowiem, jak nikt inny, kwiaty i owoce innych narodów skupiali u siebie i przekształcali na własne sny i jawy zaklęte w marmur i śpiewne heksametry, miód z krwi i wzlotów i szalów wielkich przeżyć, nienależących do archipelagu i małego półwyspu, ale w łwiej części swej związanych z wielką równiną za górami, ze zbożowym stepem, z mistyczną Tracją poprostu, ową głęboko w Słowiańszczyźnie zakorzenioną pierwszą Polską.

O, Polska jest na dnie ducha Grecji i wygląda na świat przez oczy-bławatki Ateny na górze Akropolskiej, jasnej Demetera z pękiem czerwonych zbożowych maków opowiedzieć ci może o tajemnicach kraju, z którego nad śmiejącą się zatokę — Eleusis — przybyła, i mówić o Persefonie — trackiej Wandzie, którą w stosie ognia w świętojańską noc porwał witeź ognisty, i na której cześć owe konne wyścigi z pochodniami otwierano, o których Platon opowiada w „Rzeczypospolitej“.

O, przedziwne są żywoty zapisane na niebie i jak hyzop złożone w tradycji wieków, w mitach i teogonjach i w dytyrambach, w których szal rozpędzonego rumaka obraca się na miejscu, gdyby jeździec uwięziony nagle na malutkiej wysepce pośród fali morskiej!

Zaprawdę powiadam ci, kolasa słonecznego boga dostała się na północ i na niebo podniosła wysoko, spadając i obracając świat w pożar. Wszystkie późniejsze żywoty rozwijały się, jak z kłębka, z tego pierwszego.

Ostatnia Polska rozpoczęła się po krwawej i mrocznej nocy Popielów. Pierwszym promieniem jasności był Piast, po którym burza wypada z czarnych lasów poprzedniego żywota, miotając na wszystkie strony zygzaki błyskawic i piorunów.

Posłuchaj, ta ostatnia Polska może być cała oprawioną w relikwiarz, ujętą w drogic kamienie, przez które wypada promienne światło tysiącletniego rapsodu.

Aby pieśń tę tworzyć, nie trzeba rozkopywać ziemi, cyfrować odkrytych palenisk, wiązać horodyszcz ze sobą i ofiarzysk, dziś ukrytych pod wrzosami lub

zieloną tarniną, i wszystko ożywiać krwią odwiecznych mitów.

Oto w nocy rodzi się światło: Aniołowie śpiewają w piastowskiej chałupie kolędy przy stole, na którym wigilijnie ustawiono miód, mleko, pszeniczne ziarno z makiem gotowane, wielkie kołaczki, odwieczne korowaje. Piast-kołodziej (słyszysz? — znowu wspomnienie słońcowej kolasy!) spogląda radośnie na gości, serce w nim śpiewa do wtóru.

Obrazy zmieniają się prędko; teraz bóg-gromownik Chrobry sunie z piorunami przez puszcze, bijąc naprzemian we wschód i zachód, północ i południe, zaznaczając świetlanym Mieczem granice domu, w którym wypadnie się przez tysiąc lat budować. Pierwsze skiby narodu pokazują się zpod śniegu, a wysoko w powietrzu chmury i obłoki poczynają barwy zmieniać na bardziej tęczowe. Jest wiosna pierwsza, są przymrozki także.

Teraz baranek wychodzi na niebo. Wszystkie sady polskie pokrywają się kwieciami, a na polach błyszczy świeża ruń szmaragdem, i we wszystkich gajach niepłoszone ptaki zaczynają śpiewać dziwne kancony, dziwnie południowe — z zefirem i zorzami. Przypomnij sobie Kazimierza, którego naród nazwał Wielkim! Czy nie widzisz, jak pełna wiosna i serdeczna krew narodu — biały kwiat jabłoni szeroko, może przedwcześnie się rozwiera? Czy nie myślałeś, wspominając tę wiosnę, że smok, zagłuszony piorunami Chrobrego i Krzywoustego, zaczął się tylko na ziemi straszliwie i teraz, gdy kancony zaczynają się podnosić w powietrze, wychyli swój zjadliwy łeb?

O, zrozum wielką ofiarę Jadwigi! Klęka przed Ukrzyżowanym i skupiła się w milczeniu cichej nocy w pustej, zimnej katedrze na Wawelu. Przecież to była noc śpiewu słowików po sadach, a ona modliła się żarliwie i podnosiła oczy na Zbawiciela, pytając, czy smok nie może być inaczej zwalonym, jak przez małżeństwo z Jagiełłą? Podnosiła oczy na krzyż i spuszczała znowu wzrok ku ziemi, jeszcze wciąż niepewnie i nierozegrane w sobie. Podniosła twarz i wpiła oczy w źrenice Boga na krzyżu. To była ta noc, w której Chrystus rozmawiał z królową. Nie namawiał — przemówił

tylko. A ona nagle zajaśniała, i jęły spadać na kamienne płyty te pierwsze łzy gorące — szczęścia już, że można ofiarować się, serce złożyć za innych. Podniosła się promienna, aby święte stopy całować...

Może zadrzysz, kiedy ci powiem, że ćwierć wieku później chorągwie pochyliły się wszystkie instynktownie przed skromnym grobem królowej, gdy im przyszło podziękować Bogu w rozgłosnym *Te Deum laudamus* w tej samej katedrze, za zwycięstwo pod Grunwaldem; słońce się wdarło podczas tego śpiewu i kwiatami rzucało na cichą trumnę, tak daleką od tryumfów i fanfar. Wanda zwała się niegdyś smoka, zapaliła ognisty słup Sobótek; po raz drugi zwała go Jadwiga!

I oto spada rosa niebieska. Kopernik opowiada o prawach wszechświata i słońca. Wszystkie głowy wpatrzone są w blask nad sobą i goreją w aureoli złotych zórz. Rzeczpospolita staje się jak ogród pełen czarów; w ogrodach podnosi się zapach róż, poeci zaczynają śpiewać wskutek wezbranego serca. Teraz idzie Barbara do ślubu po czarownych kobiercach, i ognie podnoszą się pod strop Rzeczypospolitej, mistycznie. Noc świętojańska nieśmiertelnym ślubem łączy dwa narody; oblubieńcy świecą, jak owe dawne posągi w gajach, przed którymi już raz nad Wisłą kapłan Łady zapalał zioła święcone na kamiennych stołach. Zaprawdę Litwa i Polska są jak Lelum i Polelum!

Teraz lew-Batory z kolei wychodzi na niebo, obraca paszczę ku Wschodowi. Zachodni smok łasił się, dopokąd nie zaszczeplił w odległych sąsiadach trującego jadu. Jest chwila południa, drzewa rozwierają korony z bujnych palm, a z gęstwy, nad którą ogień-słońce ciska iskry czerwone, rozlega się głos proroka. Ptaki na chwilę milkną, bo z puszczy, skapaniej haszyszowym szałem, na tle muzyki trąb i kłócących się z sobą głosów wychodzi Piotr Skarga i woła: Bych był Iżajaszem...

O, nowy Jan Chrzciciel w upalne południe przypomina, że mroki wyprostować się mogą i na żyjących spaść czarna chmura. Daremne wołanie! Słońce jest

w górze, nikt nie wierzył Przeciwnie: w blasku rubinów świeci Serenissima na wszystkie strony, choć Pycha podnosi się pawią kitą wśród perel i ambry, a bukoliki wstają w ogrodach i zmieniają kraje w sielankę Teokryta, sad dojrzały, pachnący. Teraz są żniwa!

Okolo żralych kłosów krząta się Żółkiewski tak, że sierp dzwoni szeroko w łańcach, a szum chorągwi pancernych przypomina śmiało szybowanie ptaków. Przypominacie Kreml? Wzlot jest najwyższy Orła. Ale Cecora wychyla białe ślepia Zła. O, dodziś rozlega się wieczorną porą w Polsce dziewięciokrotne dzwonięcie za zmarłych pod Cecorą!

Na wschodzie nagle ucichł chór żniwiarów. W parnym powietrzu rozpręga się burza. Następuje oberwanie chmur, potop żywych wód z góry. Gmach, dźwignięty przez Chrobrego i Jagiellonów, zadrział w posadach. Na miejscu góry otwiera się teraz otchłań dla wód coraz wyżej się piętrzących. Po wodach płynie Szwed, a jedna tylko biała skała jeszcze świeci pośród chaosu, zapadnie się w milczeniu. O nie!

Grom, błyskawicel

Stań się, stało.

Pokłon przeczystej Rodzicy! Stawia nogę na wzburzonych wodach, skinięciem ręki z dna narodu dobywa suchą ziemię. Rozgonione są chmury, błękit przegląda i słońce pali się tryumfalnie.

Słońce wraca na babie lato, aby mógł być widzianym Sobieski, Chocim i Wiedeń. Po krótkim skupieniu rozlegają się pierwsze muzyki wesela, już powszechnego. Słychać rozgłosne przytupywanie nóg, podkręcane są wąsy zamasyście. Dźwięki wypełniają Rzeczpospolitą po brzegi, skoczna melodia ogarnia wszystkich, swawolny szal wzrasta, przeobraża się w niezaspokojone i nieprzespane kręcenie się na miejscu, aż nagle nastąpi jedno krótkie ukąszenie skorpiona, przygotowane oddawna, wymierzone trafnie.

Oto cały dom na wszystkie strony rzuca się teraz w rozpacz, a biesiadne stoły leżą przewrócone na ziemi. Miód i mleko, zatracając się, wsiąkają z powrotem w ziemię, a na niebie ukazują się psy gończe, straszliwe, i wstaje jedna

wichura, która wszystkie spadłe liście jednej nocy porywa, unosząc z miejsca na miejsce, bawiąc się jak kartami i ustawiając z nich domki walące się razwraz.

Przez całe dni, przez całe tygodnie nie wygląda teraz słońce. Chmury ciągną coraz niżej na ziemi, a szaruga wżera się w serce coraz głębiej, tak że głowy pochylają się coraz smutniej, nagryzane przez coraz straszliwszą niepewność, czy będzie jeszcze kiedykolwiek jasno? Z odbicia chmur tylko wyższych w dniu, w których niebo nieco się rozkrywa, spadają nakrótka jakieś jasności, natychmiast pochłonięte przez nowe morze czarnych kłębow, podnoszące się na wszystkie strony wraz z monotonnem i żalosem wyciem wiatru.

O, powiedz, czyś i ty nie zatrzymał się w tych ciemnościach przeciągających, na tle widnokregu, który się straszliwie ścieśnił i za gardło chwycił, niepozwalając drgnąć całą wiarą, że skrzydła wyprostują się z powrotem, jeszcze szerzej, niż kiedykolwiek przedtem?

Słuchaj, ciemności przechodzą! Serce Kościuszki się rozwarło i zbawiło nas wszystkich! Wódz w sukmanie rozwałił ściany, dzielące naród, i obie rzeki sercem swem związał na wieki! O, gdyby nowy Piast, wziął On w siebie mroki, a wyrzucił jasności, tak że cały świat otwarł oczy przecuciem, że święte serce, podnosząc się z grobu, rozkrzyczy się najbardziej świetlanem słońcem i rozstrzeli szeroko promieniami.

Nie lękaj się, nie zatracaj; słońce stoi w tej chwili na niebie w znaku Łucznika, a ucho wrażliwe słyszy zdala, gdyby z przyszłości, nie zaś z przeszłości, słodki śpiew, od którego cała ziemia drży radością: Bóg się rodził!

Ja sam upajałem się na tej ziemi najpierwszemi drgnieniami pierwszej, wczesnej wiosny i jako dziecko drżałem na widok pokłonu złotych orłów Napoleona przed białym świetlanym naszym ptakiem.

Duch umilkł. Zajaśniał wspomnieniem o Wielkim Bogu Wojny.

Z mogiłek wypadły skowyczące wichry, wstrząsając zasiekami drutów. Szum jakiś wojować jał w powietrzu, nie zasłaniając jednak nieba.

Żołnierz podniósł głowę i po chwili milczenia jął mówić, niepewnie, z trwożą, aby nie dojść zaprędko do końca.

— A jeśli to wszystko igraszka Złego Ducha, który natrzęsa się z nas, zarządzając głowy Uludą, a samych nas w poniewierce ciska na hjobową Kalwarię ostatecznego poniżenia?

I wpił się oczyma w postać przed sobą, zatrzymując dech w sobie, tak jak gdyby chciał tem zatrzymaniem dobić w sobie ostatnich jakichś wątpliwości, które w tej chwili trzymały się jeszcze po kątach, choć wyprostować się nie śmiały.

— Powiedz! — zawołał. — Rzuciliśmy się, aby zgnieść głowę węża i smoka, a straszliwe zwierzę pokazuje krwawe pazury i ziele coraz czarniejszym oddechem, który spala nam ziemię. Czy nie rzucił się cały świat na zwierzę, a ono nadal hipnotyzuje zimnozielonym błyskiem oczu lucyferycznie widzących? Gniję w tych okopach.

Na skraju nieba pokazało się coś jak świt daleki.

Duch mówił:

— Prawda jest zawsze w djademie barw i blasków: po tem ją poznasz. Wydaje się Uludą, skoro tylko zamykamy serce. Taka jest właściwość narodu.

O, śpiewaj sercem! W czystości serc musimy wydobywać z powrotem głos w sobie, promienny głos, w dnach fundamentu, od którego nie może być odłączoną nasza ręka, hojna i waleczna.

To, żeś do okopów trafił, nie jest niezgodne z Przeznaczeniem. Twoją rzeczą nie jest myśleć, po której stronie zwycięstwo lub porażka, i czyja strona dla twej Ojczyzny jest ową stroną, która postawi nogę na wczorajszej ciemności. Zagadnienie to nie należy do żołnierza.

Myśląc o rzeczach, których rozstrzygnąć ci nie dano, pijesz niepotrzebnie z kielicha goryczy, gdyż ten kielich już raz był wypity i raz nazawsze ze zjawieniem się Ukrzyżowanego, który, jak gwiazdy ci już mówiły, świat zbawił.

Ojczyzna potrzebuje od nas szerokiego lotu skrzydeł, przemądrych głów, charakterów jak stal, nieustraszonych żołnierzy, rasy półbogów, aby z nowem słońcem rozpocząć tytaniczny nowy pochód, jeszcze większy i jeszcze pełniej-

szy, niż ten, który był w ostatnim tysiącleciu i teraz wśród straszliwej wichury i ciemności kończy się z trzaskiem.

Patrz, na niebie palą się odwieczne znaki, które mnie wysłały: tam Perseusz, gdyby Krakus, wysoko prostuje się z włócznią w rękę, a przed nim skłębiają się węże-Meduzy i świecą rozpalonemi głowami, a tam skrzydlaty Pegaz zrywa się do ponownego lotu. Wielki Wóz przywiózł nas z południa... patrz, świeci siedmiu gwiazdami. Na niebie w tej chwili zebrany jest sobór z gwiazd pierwszego rzędu, a owe trzy gwiazdy, które są widne na samej drodze mlecznej, blisko złączenia jej rozdwojonych gałęzi, to Trzy Zorze Dziewice, prządki naszego narodu.

Polska potrzebuje od nas boskiego lotu skrzydeł i dlatego ty, żołnierzu, skoro się już dostałeś do okopów, bij się, jak Lew, napinaj łuk, jak Strzelec, przeganaj, jak Woźnica, i nie oglądaj się za siebie i skrupuły słabych ludzi, ale z siłą niewzruszoną dobywaj ze siebie męstwa ojców, jak ogniowej pochodni wśród nocy, aby jeżeli padniesz, męstwo twe rozświecało drogę innym, a jeśli ocalejesz, aby męstwo to twoje, z piekła wydarte, Ojczyzna nagle mogła jednego dnia wypełni spożytkować, już ciebie samego, jako jednego z tych, których rdza nie chwyta, trąd nie obali, co dojrzeli w ogniu samym, nauczyli się niecofać przed niczem, nabrali wzroku ostrego wśród gazów trujących i nie ślizgają się już po sentymentalnej powierzchni, napawającej tylko dobrotliwie-pocziwie niebożątka przerażeniem i zelźawaniem załamaniem rąk.

Tak gwiazdy cię pouczają rozgłośnie: Wielki Lew odwraca się od Raka, przesuwa się w stronę Panny.

Nietrzeba rzeczy komplikować, robić tragedji o braciach (polskie: dramat układasz!) i sił serca przemieniać na lzy suszone przez powietrze. Siły serca lepiej przeobrazić w pragnienia najwyższej Pełni, całkowitego rozwarcia się w prostocie i mocarne dźwignięcie się w sobie: chcę, już słońce w nas samych, już zmartwychwstanie wielkich Ojców ze snu naszego narodu, już Słowo ze siebie dobyte a potrzebujące koniecznie (słyszysz!) Miecza, aby zwyciężyło i utwierdzonem mogło być na świecie.

Ojcowie nasi ustalali nietylko jak Kopernik słońce, jako świetlane centrum wszystkich ruchów, ale na tle jesiennych ciemności, jak Lel czczony w pogańskich kontynach, prostowali się sami kolumną światła, rozjaśniając nagle Noc i zmieniając ją na Dzień pełny Hejnałów! Nasi przodkowie umieli się ze zgliszcz podnosić i piorun zrzucić, z kości powstawać, zjawiać się jak Kościuszko, z dziękczynnie wezbranem światłem, jak samo słońce, nie żałując promieni. I nie cofać się nigdy z obranego posterunku!

Okopy (wybrałeś je sam!) uważaj w tej chwili za rodzaj boiska, przez Przeznaczenie podsunętego tobie dla rozbudzenia sił, które zapadły w letargu wskutek zbyt długiej nocy Porozbiorowego Istnienia. Huk strzałów, race granatów, pękające szrapnele — niech rozbudzą w tobie wszystkie drzemiące siły, wierząc bowiem, że tylko ten, kto strząsnął ze siebie całkowicie sen, przechodzi przez wszystkie kule...

Prawdę tę rozwieram tobie, gdyż w tobie jest poczucie tego, że Polski nie może żadna siła obrócić w nicość, unicestwić,

Wszelkie Zło jest tylko tak długo Złem, dopóki nie zostanie obróconem w Światłość.

Aby zaś obracać w Światłość, musimy wylecieć jak nikt inny nad poziom!

Oto Moc wieczysta, przekazana nam przez Słońce.

Rozświetlać mroki, skupiać za każdym razem snopy jarzące w jedno i snopami gorejącymi odpędzać ciemności odwieczne, które pragną oddzielić niebo od ziemi.

To, co dla nas jest najstraszliwsze, przeobrazić się winno na siłę zbawienną.

Pamiętasz Erynie Ajschyla, przemienione w Eumenidy? Ze złych i drapieżnych stały się błogosławionymi przez mądrość i ruch serca.

Cóż jest wyższego na świecie nad Słowo: Stań się!

Pomyśl, czy lepiej, abyśmy dalej spali w dobrobycie, zamykając uszy na głos armat, krzyk ptaków zwiastujących dzień, czy lepiej, abyśmy się z armatami teraz budzili z letargu, który zapadł po głośnych żniwach Batorego, całej plejady wodzów Walezego i samego Sobieskiego...

Już niegdyś świat był zagrożony przez pożar spadłej kolasy słonecznej, a oto nowy pożar wstrząsa dziś świat cały z powodu tejsamej kolasy!

Błogosławiony, kto żyw, w kim nie spopieliała odwieczna pieśń rycerska: Bogarodzica Dziewica, Bogiem sławiona Maryja...

Świat cały roztworzył oczy: duszy Polski niemożna zabić! Do nas należy zbudować teraz nowe ciało, promienne, świetlanej rasy bogów.

Straszliwy mrok, który czyha, dany jest na to, abyśmy zmartwychwstawać mogli, wołając na świat: ciemności mogą być rozproszone, of ara z piekła może być wydarta, do nieba można sięgnąć po laury!

Zaprawdę, pozostaje nam teraz obracać się w jasność wielką i jak słońce promieniować na wsze strony!

Spiwajmy:

Narodził się dla nas Syn Boży...

Wierze w to, człowiecze...

Jezu Chryste miły, byśmy z Tobą żyli...

Amen, Amen, Amen —

Amen, Amen, Amen, Amen, tako Bóg daj,

byśmy poszli wszyscy w Raj, gdzie królują Anieli.

Zołnierz wsłuchał się w chorały zmartwychwstałe. Pochylił głowę. Jasny Duch z twarzą słoneczną błogosławił go, wiążąc przez obcowanie Świętych z duchami Światła i Mocy.

Pierwszy świt wylewał się na niebo dziwnie błogim fioletem.

Okopy podwoiły czujność, choć jeszcze w mrokach nocy tonęły. Ziemia gdyby nieznacznie drgnęła.

Zołnierzowi zdało się teraz, że Ten, z którym przed chwilą rozmawiał, zolbrzymiał, wyrastając w postać Archanioła od ziemi do gwiazd, i że twarz swą pochylał nad ziemią, zwiastując.

Zołnierz usłyszał w swoim własnym sercu szept, który wielki Duch ze siebie w stronę ziemi sakralnie wysyłał:

Bądź pozdrowiona, łaską udarowana, Pan jest z Tobą!

W tejsamej chwili rozkaz krótki przebiegł okopy. Telefon dzwonił. Wszyscy się zerwali. Powietrze rozdarł ryk armat.

Mieczysław Limanowski



WYBUDOWANIE KATEDRY

Pamięci Braci Ciofecznych Kapłanów: X. Arcybiskupa Jerzego Szembeka i X. Stanisława Moszyńskiego.

*„Domine, dilexi decorum domus Tuae
et locum habitationis gloriae Tuae“*

Po latach wielu i po trudach tylu
 Stanęło Bogu ślubowane dzieło
 W szczodrym wiecznego odrodzenia stylu —
 I cisza — mnóstwo rusztowań runęło
 U stóp posągów o twardym profilu
 Wyznawców Pańskich — gruz się uprzątnęło
 Wkoło filarów potężnych, jak cedry,
 Wewnątrz korabia stołecznej Katedry.

Wtem słyhać odgłos; to na płytach nawy
 Krok architekta pod cieniem portyków
 Ozwał się jeszcze po ustaniu wrzawy
 Nawoływania, ostrzeżeń i krzyków
 I nadpowietrznej marmurów przepawy . . .
 Zniknął nazawsze już tłum robotników —
 Wszystko skończone, kiedy Mistrz na boku
 Staje wśród pustki świątyni o zmroku.

Stoi tum wsparty na podstawie krzyża —
 Witraż absydy złotem słońca miga,
 A w środku nawy, gdzie transept się zbliża,
 Tam kwadrat, w koło przerastając, dźwiga
 Jarzmo kopuły. Wyobraźnia chyża
 Rytm linii prostych i sieć krzywych ściga
 W szeregu kaplic wzdęciem stropów bujnym
 I biegnie bocznych naw rzędem podwójnym.

Z duszy cierplivej praca się wysnuła;
Jednak poczucia słusznej dumy nie ma
Człowiek, którego myśl taki wykuła
Dom dla modlitwy — i wie, że wytrzyma,
Choćby za sto lat ogromna kopuła,
Gdzie wprzód bijące jak tętno olbrzyma
Ustały młoty z mknieniem lin trzęsącym,
Porysowała się szczelin tysiącem!

Dziś gorycz trudów zastygła w pamiątkach,
A gmach, lat żmudnych acz kosztował wiele,
Tak łatwo obejść w najdalszych zakątkach!
Lecz rzeźby kwiecić się będą w kościele
Po krótkich życia pozrywanych wątkach
Męża z imieniem uwiecznionem w dziele
I dalszych wnuków . . . choć kto wie, czy dosyć
Dbałych, by jeszcze imię przodka nosić?

Czas mu odpocząć, gdy już spełnił swoje,
Mury na silnym fundamencie wsparłszy.
Oto mu budzą dawnych marzeń roje
W mogile szczęścia o lat wiele starszej,
Nieutulonych tęsknot niepokoje . . .
Czyż sławy szukał lub łaski monarszej?
Chciał jeno, aby tłum Boga czcicieli
Z ust nieskałanych słuchał Ewangelii —

Jutro go dzieło, już obce, ostupi
Zabrzmią tu dzwony, organy i chóry,
I naród w dymie kadzideł się skupi.
Obrządkom wiary poruczą te mury—
Gdy poświęcenia dopełnią—biskupi,
Duch je napelni Boży nakształt chmury —
On zginie w tłumie tym niepostrzeżenie —
Tylko zostanie Dzieło . . . i wspomnienie!

Zwolna osuwa się u stóp kolumny,
Gdy w szarym gmachu, gdzie niegdyś męczarnia
Kuła swą iskrę w grze wysiłków tłumnej,
Oświeca blade kopuły latarnia
Ziejącą Nicość, jakby wewnątrz trumny
I nieprzeparcie pustką go ogarnia
Skończonych szarpań uwieńczony skutek —
Samotność twórcza i znużenia smutek.

Franciszek-Xawery Puśłowski



J E S I E N I A (kartki z pamiętnika z r. 1916)

Jesień — to pora dojrzewania i umi-
rania, pora, w której codzien narzuca się
myśl o śmierci.

Dojrzewają owoce, przestają rosnać,
oddzielają się od drzew i spadają. Jako
organizmy, skończywszy cykl, umierają.
Ale taka śmierć jest tylko nową formą
życia i zmianą. Taksamo, jak owoc doj-
rzały, umarłszy, zachowuje w sobie ziarna
nowego życia, dusza człowieka, odchod-
ząc stąd, rozłączając się z drzewem
swego organizmu, unosi z sobą treść
przeżytego, która jest ziarnem przyszłego
życia. Z nową wiosną swego żywota, po
wiekach, wszędzie i przybierze na się
kształt cielesny taki, jaki sama z siebie
wysnuje.

Jesienią, w porze zbierania płodów,
stula dusza niebosiężne skrzydła, któremi
latem ogarniała przestwory. Czasu żarów
letnich brały ją na ręce Moce Niebieskie,
niby małe dziecię, i poity Słońcem. Napół
przytomna poddawała się złotej, życiodaj-
nej pieszczocie. Myśli zamieniały się w
marzenia. Zmysłom stępionym przedziwo
natury jawiło się jako czar. Teraz stulona
w sobie, zamknięta, przegląda we wnętrzu
skarby świetlane. Dary Słońca przeobra-
żają się w wewnętrzną tęgość, przetwa-
rzają się w fermentie myślowym, niby
sok winnej jagody.

I patrzy na świat jakby z wysokiej
wieży, dalekie obejmując widnokreśli, a
myśli przenikliwe promienie odkrywają w
rzeczach nowe piękności.

Przeczuwa naokół ukrytą w rzeczach
wewnętrzną treść, duchową stronę zjawisk
i w tęsknocie dziwnej zwraca się ku du-
chom, cieniom braterskim.

Wspomina dusza umarłych.

Życie jest przepiękną tętniącą rze-
czywistością, piękniejszą, niż wszelkie
marzenia i sny poetów.

Życie jest otchłanią wypełnioną Świa-
tłem. W niej dawna Mądrość zespoli się
z Miłością, która zwycięży nasz świat.

A Światło — to nie łyskanie, ani pło-
mień, ani promieniowanie, jeno głęboka,
niewysłowiona radość, obejmująca duszę.

Szczęściem nieopisanem jest Życie:
jako ogarnianie wszechświata piórami
rosnącemi bez kresu —

jako wchłanianie Wiedzy i Mocy,
które są Łaską —

jako wyrastanie z ziarna Jaźni ponad
ziemię, rozkrzewianie się konarami w
przestwory międzyplanetarne, wreszcie
dojrzewanie sił w regionach Słońca.

Myślę o życiu z cichem zachwyceniem,
z uczuciem wdzięczności, mającem moc
przemieniania duszy.

Wdzięczność jest jak hymn bijący w
niebo, jak kadzidlany dym.

Do hymnu podniebego podobna jest
myśl o Polsce.

Oh! pozbyć się przerażeń, uwolnić od
tyranji zmysłów i oczyma intuicji, dla
których nie istnieje tragizm życia, wpa-
trzeć się w sens tej straszliwej, dziwnej
wojny, zostać świadkiem rzeczy dokony-
wających się we Wnętrzu.

Oto polscy żołnierze-tułacze oddają
życie w walce z braćmi swymi, błędnymi
rycerzami Polski. Zniewoleni przez splą-
taną Karmę Narodu wzajemnie wylewają
krew, w której żyje ta sama wiara w
przyszłość, nadzieja wytrwania próby i
miłość jednej Ojczyzny.

Bohaterom otworzono nową bramę,
wiodącą w nieznaną głębinę, gdzie zdo-
bywa się Moc.

Wmyślam się w drogę zawiłą duszy
człowieka, w jej żywot z początku harmo-
nijny, potem pełny udręczeń, potem za-
mieniony w codzienną walkę ze sobą.....
aż do spotkania z Sobowtórem..... i
potem.....

Ale przez analogję iść tu niepodobna.
Pojawszy drogę indywiduum, przeczuwszy
obecność Anioła, dalekim się jest jeszcze
od rozwiązania problemu: Dusza Narodu.

Stoję więc przed *TAJEMNICĄ
KRÓLA DUCHA POLSKI.*

Wyjawiała się ona w krainie Światła wielkiej duszy, której dano już oglądać majestat królewski, a której imię na ziemi było:

JULJUSZ SŁOWACKI
Jasny Rycerz SŁOWA Wcielonego.

Dla pewnych umysłów to niebывале masowe samobójstwo może być dziwnym tylko wypadkiem, może zgoła nie mieć znaczenia dla przyszłego biegu dziejów. Ale ja wiem, że we mgle zawitych i zgiełkliwych perypetji błyszczą złote niezawodne szale:

WINA — ODKUPIENIE.

Inne jeszcze przychodzą myśli w jesiennem duszy przebudzeniu; myśli — dumy ciężkie i myśli — rozjaśnienia dum.

Jak niegdyś w przeszłości Narodu, tak i dziś żołnierz-pielgrzym polski z bronią w rękę, a miłością w sercu depce kraje obcych ludów, dźwiga KRZYŻ niedoli, skrapia ziemię krwią, tym płynnym życia płomieniem, składa w nią kości...

Tensam jego twardy los.

Polski rycerz krzyżowy idzie wojować na zachód, nawet z najoświecześniejszymi narodami ziemi, bo i u nich wśród przepychu kultury znajdziesz święte groby, gdzie pochowano RÓŻĘ — WOLNOŚĆ.

A groby poległych przemieniają ziemię.

Cieniom poległych, wygnanym z młodych ciał świetlistym duszom — cześć i chwała.

Pokój im, gotującym wśród cudów Świata Duchowego przyszłe swe złoty na ziemię polską, przyszłe swe dla Ducha wolne czyny.

Jestem Polakiem. Aby nim zostać, przebyłem długą, długą pielgrzymkę poprzez doliny ziemi i wyże Ducha nieobjęte.

Powołanie wzywa mię, by zawczasu jąć się wykuwania w znoju i radości hartownego pancerza *WOLI*, by w porę wykuć ognisty *MIECZ SŁOWA* do walki ostatecznej.

Nie piszę o tem z dumą, odsuwam wszelką myśl sławy dla swego narodu. Albowiem dobrze wiem, kim jestem, i nie mylę się. Polska wstępuje na wyżyny.

Dusza moja w jesiennem wewnętrznem rozjarzeniu wyraża tu swą wdzięczność.

A tęsknota wytwarza barwny miraż jesieni w Polsce.

Przesuwają się obrazy ukochane: Łazienki... Wilanów... Nałęczów... Puławy...

Tam w alejach parków pokrytych złotymi liśćmi, co pod stopami szeleszczą swoje *memento*, w lilijowych przymgleniach snuje się pozgonna melancholja. Nieboszczka ziemia, cała wyzłocona, w glorijskośnych promieni zniżonego słońca, czeka pogodna, uciszona na biały, przeczysty całun.....

Marjan Wołowski





RZEZBA W KAMIENIU POD OKNEM: TEREMNY DWOREC
XVII. W ~ KREML-MOSKWA. (WOLE GRABARA)

ARTYŚCI POLSCY NA WYCHODŹTWIE W ROSJI WIEKU XVII

Znaczny zastęp wpływowych pisarzy zagranicznych, usposobionych dla nas wrogo, z osobistej i rasowej nienawiści lub też dzięki sutej najmickiej zapłacie, szerzył skutecznie od XVIII wieku i szerzy dotychczas z zapalem lekceważenie dla Polski, jako siły twórczej, cywilizacyjnej¹⁾. Rycerze pióra—potrafili oni wmówić wiele całym rzeszom obcych, a nieraz udało się im nawet spotęgować w naszym własnym społeczeństwie iście słowiańską (czy polską) skłonność do braku wiary w siebie — we własny naród.

Przeżywamy godzinę dech zapierającego przełomu — godzinę największych nadziei i najstraszliwszych obaw. Trzeba nam dziś młota pospólnej woli, trzeba nam gromadnej a hardej, upartej i na ostatecznych głębinach świadomości opartej pewności siebie. Trzeba nam pewności w sobie — równie potężnej, zawziętej

a spokojnej, jak ta, z jaką naród mężów wydzwignął ongiś ze swych wnętrz sentencję: „*Faber est quisque fortunae suae*“. Kowalem każdy szczęścia swojego. Słowo jedyne. Ono sprawia, że, choćby w długim pasowaniu, powala się zły los.

W dziejowej chwili rzut oka wstecz, jak niniejszy, niech nie będzie poczytany za odwlekanie uwagi, za roztrącanie skupienia. Będzie to istotnie spoczęcie jeno wzrokiem na karcie dziejów naszych kulturalnych, karcie zapisanej świetnie, a zupełnie w naszej świadomości nieobecnej.

Należy kartę ową kiedyś społeczeństwu naszemu odtworzyć w całości. Kiedyś: bo dzisiaj, w nawale prac innych, zaledwie na wstępne do niej słowo czas się znajduje. Należy: bo o twórczej sile ducha naszego mówi ona rzeczy niezwykłe, — może pomnożyć pospólną wiarę w wartość i siłę naszą.

Był czas, gdy od monastyrów, nad Białem położonych morzem, aż do Dunaju, do dworców i miast gospodarskiej Mołdawji, co wybitniejsze umysły starały się znać polski język, z polskich książek światło chłoneły Zachodu. Był to wiek, kiedy nad Adriatykiem — na cześć polskiego króla Władysława — składał strofy Gundulicz. Był to czas, kiedy Spatar Milescu, najlepszy swego wieku poeta rumuński, w języku Kochanowskich wielbił Zwycięzcę z pod Wiednia. Był to czas, kiedy w świetlicach moskiewskiego dworca poseł polski bez tłumacza, polskimi przemawiał do carów słowami²⁾.

To, co dotyczy wpływu Polski obyczajowego i myślowo-piśmienniczego na Rosję XVII wieku, wiadome już jest w znacznym zakresie, zwłaszcza dzięki znakomitej monografji Jabłonowskiego³⁾. Szkoda jeno wielka, że świetne to dzieło pozostaje dotychczas lekturą uczonych; szkoda również, że ogrom wskazówek, jakie autor w niem posiał, nie pobudził dostatecznie naszych specjalistów różnych dziedzin do dalszego wykończania obrazu w określonych działach, dotychczas mało zbadanych. Tak np. nader wdzięcznym zadaniem byłoby wyświetlenie bliższe wpływu, naszego na rosyjski teatr i muzykę. Że rosyjski romans świecki zawdzięcza swe początki polskim często przeróbkom powieści rycerskich, o tem można dziś wyczytać nawet w popularnych podręcznikach dla szkół rosyjskich. Z wychodzącej obecnie *Istorii Russkago teatra* Kallasza, Efrosa i in. (Moskwa, 1914 i. d.) dowiadujemy się, że pierwszy świecki utwór dramatyczny rosyjski został napisanym przez autora, Jakóba Gawatowicza, naprzód popolsku w r. 1619. Szopka nasza za pośrednictwem Ukrainy i Białorusi rozpowszechniła się w Rosji i pobudziła w niej ruch teatralny (ibid.). Nasze dramaty religijne były bardzo wiernie naśladowane przez Symeona Połockiego (który nb. podpisywał się zamiodu Piotrowski) i św. Dymitra Rostowskiego (Tuptałe)⁴⁾. Święty ten prawosławny miał nawet napisać pamiętniki swoje po polsku⁵⁾. W latach 1675—1676 Stefan Czyżyński, szlachecki syn lwowskiego powiatu, ongiś z chorągwi Poto-

ckiego, zarządza teatrem cesarskim i kieruje w nim 80-ciu ludźmi.⁶⁾

O tem wszystkim wspomnieć tu wypada nietylko z powodu, że przypuszczać można wobec tego wpływ polski na dekorację teatralną w Rosji, ale i dlatego, że pozatem z całą pewnością stwierdzić można wpływ naszej narodowej szopki na rzeźbę rosyjską. Przykładem niezwykle ciekawym i niepodlegającym najmniejszym wątpliwościom jest wielka kompozycja rzeźbiarska artysty Szumajewa w Srietenskim monastyrze (w cerkwi) przy ulicy Łubiance w Moskwie, której obejrzenie nie nastęrcza najmniejszych trudności. Omawiając szeroko cenny ten zabytek, prof. N. N. Sobolew⁷⁾ zalicza go do przykładów wpływu rzeźby religijnej polskiej na rosyjską w wieku XVII i nawet XVIII. Znakomity uczony nie zwrócił tylko uwagi na to, że dolna część rzeźby tej nie jest niczem innym, jak naśladownictwem i rozwinięciem bogato wypełnionej figurkami szopki polskiej. Część ta przedstawia się jako fantastyczny pałac-miasto, podzielony na trzy części główne z mnóstwem wieżyczek strzelistych, a nawet z tradycyjną gwiazdą wielką nad głównym korpusem, jak to wszystko w zmniejszonych rozmiarach można oglądać za dni dzisiejszych w Krakowie, na linii A—B w styczniu każdego roku, a więcej jeszcze w szopkach naszych starożytnych, które były wystawiane w ubiegłych wiekach z wielkim kunsztem i okazałością. Pod daszkami i wieżyczkami srieteńskiej rzeźby mieszczą się typowe w szopkach otwory sceniczne, z typową kondygnacją piętrową, wypełnione figurkami, reprezentującymi kilka scen z życia Pana Jezusa. Całość, jak świadczy prof. N. N. Sobolew, wywołała zachwyt współczesnych, jako dzieło urocze i zadziwiające ogromem pracowitości rzeźbiarza.

Wpływ polski na muzykę w Rosji był również znaczny. Organistami i muzykami na dworze carskim XVII wieku są: Proskurowski, Zawalski Szymon, Wasilewski ze Smoleńska, Gutowski, który sam robił carewiczowi klawikordy i cymbały. (Jabłonowski op. cit.). Polskie pieśni religijne — „słodkie“, jak mówił Symeon Połocki, polscy „regienci“ i kom-

pozytorowie mają znaczne powodzenie w Rosji XVII w. Tak piszą już uczeni rosyjscy, np. Metallow, który odnośny rozdział w historii muzyki ros. XVII w. zatytułował znamienne: „Pieńje koncertnoje, polskoje“ i podał cenne wiadomości o zbiorach moskiewskich, w jakich przechowują się niektóre rękopisy muzyczne polskich autorów XVII w. ^{7b}). Należałoby koniecznie z naszej strony te wiadomości rozszerzyć i rękopisy zbadać. Pięknem byłoby to uzupełnieniem prac dzisiejszej gienieracji historyków muzyki polskiej, którzy tyle już ważnych w kraju i za granicą poczynili odkryć.

Dział wpływu polskiego na polu sztuk plastycznych w Rosji XVII wieku pozostaje dotychczas dziewiczym nieledwie polem dla polskich eksploratorów. Następcza on jednak ciągle odkrycia—nie spodzianki. Dział to tem ważniejszy, że o sztuce w samej Polsce XVII wieku — z winy straszliwych huraganów dziejowych, z winy pożarów i grabieży, którym uległy i dzieła same i dokumenty dotyczące artystów — mamy dotychczas wiadomości bardzo niezupełne. Inwentaryzacja i fotografowanie pomników samych, ukrytych na prowincji, i studja archiwalne uczonych tej miary, co Stanisław Tomkowicz i in., odkrywają nam dzisiaj coraz nowe dowody na to, że wiek XVII, wbrew sumarycznym opiniom o tych „czasach upadku“, był u nas epoką silnego i pięknego ruchu artystycznego. Zaznaczyło się w nim wiele jednostek niewątpliwie polskiego, jak się dziś okazuje, pochodzenia.

Bujnej naturze i wyobraźni naszej odpowiadał panujący wówczas barok. To też, spoglądając na datujące się z owej epoki dwory i kościoły, obrazy i meble, ambony czy ornaty ⁸), widzimy, że styl ten zagraniczny stał się u nas formą nie ślepo i zimno naśladowaną, lecz gorąco przeżyta. Raz nazawsze należałoby się więc rozprawić z zarzutem naszej t. zw. stylowej nieoryginalności. Czy którykolwiek wielki styl historyczny został wynalezionym przez Hiszpanów np. lub Niemców? Żaden. Czy przeto nie istnieje sztuka hiszpańska lub niemiecka? Pomijając już nasze oryginalne budownictwo drewniane, żywych dusz i przeży-

tych dzieł artystycznych we wszystkich działach mieliśmy wiele, a badania nad wpływem naszym na Rosję XVII wieku pozwalają nam uzupełnić bogato wiadomości o nich, co więcej pozwalają stwierdzić, że widocznie stali nasi artyści wysoko, kiedy w ogromnej liczbie byli na dworcach carów i dostojników nie tylko utrzymywani, ale i usilnie zatrzymywani, z obowiązkiem nauczania adeptów rosyjskich ⁹).

Zachowane doskonale i przedrukowane od lat w wielkiej ilości zbiory archiwalne Rosji XVII wieku, przeróżne księgi rozchodów i dochodów, zwłaszcza „Orużejnej pałaty“, która stanowiła rodzaj szkoły sztuki i przemysłu artystycznego, dokumenty monasterskiego i innych „prikazów“, równie jak oparte na tych materiałach dzieła historyków rosyjskich (tak stronnych, jak bezstronnych) pozwalają nam dziś czynić rozległe i owocne poszukiwania dowodów bytności i działalności artystów polskich w Rosji—dowodów w swoim rodzaju jedyńskich, najbardziej pewnych, bo z oryginalnych aktów XVII wieku wydobytych przez uczonych nienaszej narodowości.

Aby należycie ten olbrzymi materiał wyzskać, gruntowne studja w samych zbiorach, cerkwiach i pałacach dawnych poczynić, trzeba by może kilku lat wspólnej pracy kilku jednostek. Każdy jednak przyczynek jest tu ważny. Zwiększony napływ uczonych polskich w głąbi Rosji w chwili obecnej powinienby przyspieszyć dokonanie tej pracy, której inaczej, niż wspólnie, w różnych punktach państwa, dokonać się chyba nie da.

Dymitr Samozwaniec i jego otoczenie nie odegrali — zdaje się — w dziejach tego wpływu roli innej, jak uderzenia taranem w twardej mur tradycji bizantyjskich i wrogich do Zachodu uprzedzeń. Od tego ważnego, ale przelotnego działania nieporównanie większe znaczenie miało wolne, lecz bezustanne przenikanie kultury polskiej do Rusi moskiewskiej przez *wszystkie* kresowe dzielnice Rzeczypospolitej. Niesłusznie, choć ze zrozumiałych łatwo powodów, wpływ ten nazywano doniedawna południowo-rosyjskim lub małoruskim ¹⁰). Ukraina, przez Ki-

jów głównie, odegrała niewątpliwie rolę wielką, jako pośredniczka między centrum moskiewskim a Zachodem, ściślej mówiąc, Polską, której cywilizacją była nawskroś przesiąknięta. Niemniej mnożą się dziś wielce dowody, że Litwa i Białoruś zaznaczyły się w tej mierze również bardzo poważnie (zwłaszcza przez Wilno, Smoleńsk, Mohylów, Orszę, Ostróg i Począjów). Wystarczy np. wertować katalogi księżnic gr. ko-polsko-słowiańskich w Rosji, aby przekonać się, że drukarnie wyżej wspomnianych miast dostarczają Rosji centralnej XVII-go wieku bardzo wielu książek, zwłaszcza w obronie prawosławia, i to często popolsku przez prawosławnych autorów pisanych.

W rozpowszechnieniu drukarstwa w Rosji położył zasługi między innymi hetman Chodkiewicz¹¹⁾. Drzeworyty książek polskich i w Polsce drukowanych stanowiły wraz z zagranicznymi te m. in. wzory artystyczne, które przyczyniły się do przewrotu pojęć w malarstwie i wogóle w sztuce rosyjskiej XVII wieku¹²⁾ (ob. rycinę Biblija druk. w Jewiu).

Współdziałają w tem bardzo mnisi prawosławni, osiedli we wszystkich kresowych dzielnicach Polski, wrodzy katolicyzmowi, ale jako artyści zupełnie naszą kulturą artystyczną przejęci. Przenoszą się oni niejednokrotnie z całymi klasztorami od nas do Rosji i wprowadzają tam rzeźbę religijną, przyjętą z naszej sztuki kościelnej, a potępianą do owego czasu nietylko w cerkiewnej, ale wogóle w całej artystycznej twórczości rosyjskiej¹³⁾. Ostateczny moment decydujący o przewrocie w sztuce rosyjsko-bizantyńskiej stanowią wyprawy na Polskę cara Aleksego (pochód smoleński 1654—56). Zwycięski władca bawi wówczas dłużej w miastach naszych, jak Smoleńsk, Witebsk, Wilno i t. d., osobiście zapoznaje się z zewnętrzną stroną życia polskiego, wraz z otoczeniem swoim podlega czarowi naszej sztuki świeckiej i duchownej, a wróciwszy do siebie, popiera ją usilnie jako wielki promotor ruchu budowlano-artystycznego w Rosji. Polskie krucyfiksy i kalwarje, polskie figury kościelne i przydrożne stają się wzorami rzeźb podobnych w państwie, w którym niedawno

przedtem uważano je tylko za bałwochwalcze wymysły¹⁴⁾.

Polska wprowadza rzeźbę figuralną do Rosji. I reakcja też antypolska niszczy rozwój kościelnej rzeźby w państwie carów. Edykt Piotra Wielkiego z r. 1722, zakazujący nadal ozdabiania cerkwi podobnymi dziełami, stwierdza niezbitcie duchową ich genealogję. „A w Rosji — głosi on — *obyczaj ten wszedł od różnowierców, od „rimlan“ i „porubieżnych“ nam Polaków, których jako z naszą wiarą niezgodnych, naśladować nie należy*“¹⁵⁾. Zanim do tego doszło, nowy styl rozwinął się szeroko. Car Aleksey brał z podbitych miast polskich całe zastępy artystów wszelkiego rodzaju, budowniczych i cieśli, stolarzów i rzeźbiarzy, specjalistów od zdobnego kaflarstwa (ceramiki) i szklarstwa, malarzów i rysowników. W dwa lata po Smoleńskim pochodzie, stworzyli



KARTA TYTUŁOWA EWANGELII
DRUKOWANEJ w JEWJU (IWJU)
PODWILNEM 1617R.
WEDŁUG LIBROWICZA.



KAFEL BAROK. XVII. W. ROS
PRZYPOMINA POLSKIE
KARTUSZE HERBOWE
USPEN. Mon. 4^r. WŁODZIM. GUB
WYDANIE STROGON: MUZEUM

oni pod Moskwą całą szkołę „stroitielną“ — jak dziś oficjalnie już nazywa ją nauka rosyjska¹⁶⁾, — mianowicie, w Nowym Jeruzalimie, dokąd wezwał ich do budowy słynnego podziśdzień soboru, głośny patriarcha Nikon. Gorący ten skądinąd obrońca prawosławia otaczał się zdolnymi Polakami¹⁷⁾, których zresztą gorliwie, jak się zdaje, nawracał¹⁸⁾. Cenny zbiór dokumentów, dotyczący tych artystów „inoziemców“, ogłosił archimandryta Leonid w r. 1876. Pochodzili oni z Wieliza, Orszy, Koposy, Witebska, Smoleńska, nawet z odleglejszego Wilna i Oszmiany. Niektórych znamy tylko ze zruszczonego imienia, wiadomo nam jednak skądinąd (od prof. Sobolewa), że wogóle chrzczono takich emigrantów dość gwałtownie¹⁸⁾.

Zachowane nazwiska czy przezwiska z dodaniem „inoziemiec“ brzmią: majster Terlik z Koposy, płatnerz, Karaska-Okułow z Dąbrowny, Michał Klimko ze Szkołowa, szczególnie wybitny rzeźbiarz¹⁹⁾, Cziuka (Szczuka) z Wilna, kaflarz i malarz, Piotr Zaborski, rzeźbiarz i wszech-

stronny artysta, którego Leonid nazywa jednym z dwu głównych pomocników patriarchy Nikona w ozdabianiu soboru (str. 18, 146, 204)¹⁷⁾, wreszcie Wołczek, „wzięty jeńcem“, inoziemiec z Oszmiany, też uzdolniony bardzo, bo umiejący kopyły cerkiewne i „wszelakiego rodzaju“ ozdobne okna i „wszelakie naczynia z blachy“ czynić¹⁹⁾.

Nawet gdyby który z nich nie był czystej krwi Polakiem, to wnosił w każdym razie polsko-zachodnią kulturę, którą mu dał bujny rozkwit sztuki u nas. Widać to z ryciny u Grabara, T. II str. 291, przedstawiającej jedno z ich dzieł, dotychczas zachowywanych, prawdziwie piękne barokowe ozdoby architektoniczno-rzeźbiarskie: gzymsy z długim szeregiem głów aniołków i bogate ramy okienne.

W roku 1666 car większość tych artystów powołał do Moskwy, a najlepszych wcielił do „Orużejnej pałaty“, która stanowiła podówczas rodzaj szkoły sztuk pięknych i przemysłu stosowanego. Ciekawa jest statystyka tego wyboru. Na 31 przedstawionych kandydatów, 16-tu jest „inoziemców“, na 16 wybranych przez cara



KAFEL BAROKOWY ROSYJS.
WPKJW ZACHODNI. XVII. W.
USPENSKI MONASTYR: ALEK
SANDRÓW. WŁODZIM. GUB
POT. BARSZCZEWSKIEGO. ~ ~



DEKORACJA
OKNA NOWOJEROZOLIMSKIE
GOMONASTERU WIEK XVII
DRUGA POŁOWA
CZAS POBYTU MAJSTRÓW
WYCHODZCÓW z POLSKI

tylko trzech pochodzi z Rosji, reszta (13) z Polski!

Dzięki uprzejmości prof. N. N. Sobolewa, za którą i tu jeszcze wypada mi złożyć najlepsze podziękowania, mogę uzupełnić te wiadomości nazwiskami siedmiu polskich rzeźbiarzy. Znalazł je p. Sobolew w archiwum Ministerstwa Dworu w Moskwie, w kilku dokumentach „Orużejnej Pałaty“ z XVII wieku, które dotychczas nigdzie nie były przedrukowane. Są to: Michał Czarnorzecki z towarzyszymi (№ dokumentu 7,232), Litowiecki (płatnerz), Kokotka, stolarz-artyista, Jan Drakula, Jakób Pogorzelski, Rebnicki i Batura-Bielowiecki (№ dokumentu 6,956). Ostatni podpisywał się łacińskimi literami, jak Klimko, co do innych — o ich pochodzeniu świadczą nie tylko brzmienia nazwisk, ale i wyznanie wiary. Prof. N. N. Sobolew znalazł rozporządzenie carskie, rozkazujące przyjąć ich do prawosławia. Innymi słowy, do owej chwili nie należeli oni do cerkwi. Kolegami ich stają się wkrótce liczni

malarze polscy, o których będzie jeszcze mowa osobno, a z którymi noszą oni wysoką zasługę: ozdobienie zewnętrznej i wewnętrznej strony nowowznoszonych, najsłynniejszych dworców carskich w Moskwie (na Kremlu), w Siole Izmajłowskim i w Siole Kołomieńskim (cf. Grabar, str. 286—88 i str. 417, Uspienski, Słownik passim)²⁰). Wobec tak wielkiej liczby artystów, z Polski pochodzących, zatrudnionych na dworze cara w czasie przebudowy pałaców, możemy nie bez prawdopodobieństwa przypisać im autorstwo np. rzeźby podokiennej z Dworca i i. (ob. ryc.). Zaleca się ona bogatym i delikatnym rysunkiem barokowym. Rzeźby tej żadną miarą do wzorów czysto-rosyjskiej sztuki w XVII zaliczyć niemożna. Liczny udział artystów naszych przy budowie „dzieł gosudara“ był tem ważniejszy, że stały się one wzorem dla bardzo wielu innych budowli XVII w. w rozlicznych miastach Rosji.

Współdziałanie artystów miejscowych i podatność polsko-słowiańskiej natury dawały często w wyniku odcień baroku zruszczony, niepozabawiony swoistego wdzięku. Podobnie mistrze włoscy w XVI w. w Rosji i w XVII w. w Indiach zastoso-owywali się do tradycji, jakie w danym kraju znajdowali, i wiązali formy wniesione przez siebie z miejscowymi. Powstała stąd w Rosji ogromna różnorodność kształtów, motywów i sposobów rozwiązań, ożywiająca ogromnie całą architekturę drugiej połowy XVII wieku.

Największe natężenie siły, znaczenia i liczebności polskiej kolonii artystycznej przypada na siódmy i ósmy dziesiętek lat wieku²¹).

Car Fieodor, podobnie jak słynna regientka Zofja, zna dobrze język polski, książnice jego i bojarów są pełne dzieł autorów naszych XVI i XVII wieku, jak Strykowski, Skarga, Twardowski i wielu innych²²). Autor rosyjski Łazar Baranowicz pisze dzieło (dedykowane carowi) popolsku. Ks. Galicyn proteguje Polaków nie tylko świeckich, ale nawet noszących sutannę jezuicką.

Pierwszą żoną cara Fiedora Aleksiejewicza jest zmarła młodo A. S. Gruszecka z polskiej rodziny ze Smoleńskiej



ziemi pochodząca (1679—1681)²³). Wraz z krewnym swym też z polskiej Smoleńskiej rodziny, Szymonem Zaborowskim, kierownikiem Monastyrskiego prikazu, popiera ona artystów polskich. Do takich należą np. Marcin Kaczanowski i Jan Mirowski, autorowie dekoracji ściennych w komnatach tejeż carycy (Uspienski: Słownik).

Jasne jest wobec tego, że wiele ozdób i części budowli, z tych lat pochodzących, przypomina nasze nader żywo. Tak np. pyszne okna ozdobne, dodane na fasadzie Granowitej pałaty około r. 1684, przez całą strukturę konsol, podstaw, słupów, głowic, gzymsowań i profilowania, uderzająco przywodzą na myśl polskie ołtarze barokowe (obacz naszą rycinę i fotografię w Grabara Istorji russk. iskusstwa, II, 265). Zasadniczy motyw, zdobiący szeroką bramę Izmańłowskiego dworca (r. 1680), mianowicie, system półsłupów, ich podstawy, gzymsowania i in. części (obacz rycinę tu, str. 40, i fot. u Grabara, II, str. 311) bezpośrednio schodzi się z takim samym członem na pomniku Lwa Sapiehy w kościele św. Michała w Wilnie. Nawet proporcje są bardzo podobne. Różnice zachodzą wprawdzie między głowicami obu zabytków, ale takie, jak w Wileńskich i t. p. polskich pomnikach, spotykamy zarówno w Moskwie (Kreml), jak i w innych miastach rosyjskich (Grabar, II, passim). Niestety, ogromna część przepięknych budowli carskich z owego czasu już nie istnieje. Należący do ostatnich „Posolskij prikaz“, dobudowany przez protektora Polaków-artystów, ks. W. W. Golicyna, na rysunku Palmkwista z r. 1674 przedstawia się zupełnie, jak zachodnio-europejskie i polskie pałace z XVII wieku (Grabar, II, 274). Z większych dochowanych w Moskwie całości z końca XVII wieku szczególnie warto zwrócić uwagę na ściany zewnętrzne cerkwi B. Krest, na Nikolskiej, na górne części białego barbakanu, między Kremlm a Maneżem (około 1684) i na bardzo podobne do nich attyki wież obronnych Nowodziewiczego i Dońskiego monasterów²⁴). Ostatnie trzy kształty są prawie identyczne z tymi, jakie znamy doskonale z polskich ratuszów, szczytów kamienic i wieżyc XVI i XVII wieku.

Znaczna ilość słów i określeń technicznych, znaleziona w ówczesnych rachunkach i inwentarzach rosyjskich, wskazuje wyraziście na źródło pochodzenia różnych form budownictwa i przemysłu artystycznego, a nawet narzędzi w Rosji.

Co krok spotykamy takie wyrażenia, jak: „polskoje dzieło“, „tri zamka glezduny polskije“, „czasy bojewyje żelieznyje polskije“²⁵⁾, „stuł na kriwych polskich nogach“²⁶⁾. Ostatnie określenie, jasno wskazujące na wygięcia barokowe, samo już mogłoby służyć za dowód, że styl ten uważano wówczas za pochodzący z Polski, nie zaś za wyłącznie od Niemców zapożyczony, co chcieli niektórzy obcy uczeni wykazać. Podziśdzień jeden z charakterystycznych sposobów kładzenia powały nazywa się „polskim“; z zakresu narzędzi podziśdzień zachowała się w Rosji nazwa „polskiej“ łopaty²⁷⁾. Przypuszczać można, że i używany obecnie rzadziej (l. Grabar) termin „zwonnica“ zamiast „kołokolnia“ i wyraz „pokoje“ na oznaczenie starożytnych komnat przyniesione zostały do Rosji przez budowniczych polskich.

Zostawiając ostatnie to zagadnienie filologom słowiańskim, zaznaczę, że przy ich pomocy wartoby szczegółowiej, niż na tem miejscu, przestudjować rosyjski słownik architektoniczny i artystyczny XVII wieku. Wieleby to mogło dać cennych w kazówek.

U Uspienskiego (w Słowniku malarzy XVII w.) natrafiamy jeszcze na określenie „polskie świece“ (kościelne, woskowe z tłoczonymi ozdobami) i „polskie płótna“ (pięknie malowane, rozciągane na sufitchach pałaców) i t. d. Same wreszcie zapiski dokonywane są czę-

sto na polskim papierze z polskim znakiem wodnym²⁸⁾.

Mimoходом zaznaczamy, że jedno z pierwszych czasopism rosyjskich, założone przez aktualnego niedawno Ordyna Naszczokina, nazywało się „Kuranty“, w czem zaznacza się wpływ polski zarówno na dziennikarstwo²⁹⁾, jak i na artystyczne zegarmistrzowstwo. Zegary w Koločmieńskim dworcu były dziełem Polaka Wysockiego, podobnie jak w N. Jeruzalimie (Leonid, 150). Nawet na Ukrainie bijące zegary nazywano polskimi³⁰⁾.

Nazwy form architektonicznych, z języka niemieckiego pochodzące, pojawiają się w Rosji XVII wieku w przekształceniu zupełnie polskiem, jako to przepisane tu (literalnie): „framugi, gzymusy, ratuszna basznia“ (Grabar, op. cit.)³¹⁾. Mamy nawet dowody, że z traktatów o architekturze i geometrii, pisanych popolsku, zapoznawano się w Rosji z zagadnieniami tej sztuki. Z polskiego języka na rosyjski przełożono w r. 1699 „Architekturę cywilną wybraną z Bellarjusza“ (p. Jabłonowski, op. cit.). Równocześnie dwaj ówczesni wysocy dygnitarze cerkwi, od których wogóle zależało powstawanie nowych budowli, posiadają po jednym egzemplarzu książki pod tyt. „Gieometra i architekt polski“ — przez Stanisława

Solskiego. Kraków r. 1683³²⁾. St. Solski był współbudowniczym barokowego kościoła Wizytek w Krakowie.

Temat cały i materiał do opracowania jest, jak się okazuje, obszerny. Na podstawie większego zbioru fotografii zabytków i studjów nad datami ich powstania możnaby się pokusić o napisanie rozprawy p. t. „Pochód form architektonicznych z Polski do Rosji



BARBAKAN PRZED KREMLEM, KONIEC XVII W.
z zbiorów Arc. J. Kulczyńskiego

XVII w.“ Punkty geograficzne, jak już dziś daje się to przewidzieć, możnaby dość gęsto naznaczyć. Nie tu jednak miejsce potemu; zadanie to trzeba odłożyć do chwil wolniejszych.

Podobnie też krótko wypadnie mi wspomnieć o formach architektury ukraińskiej w XVII wieku, przeniesionych w głąb Rosji. Dzięki przenoszeniu się wpływowych duchownych z Kijowa do Moskwy (po jego odpadnięciu zwłaszcza od Rzplitej) wpływ ten był wielki. Jednakże, gdy uczeni mówią o wpływie „drewnianych cerkwi małosyjskich“, nie powinniśmy zapominać, że conajmniej wątpliwe można, czy wszystko w tej architekturze jest miejscowe, nie zaś wspólne z polskim budownictwem drzewnym. Odkładając narazie na bok tę przydługą sprawę, podniosę zagadnienie wpływu murywanej architektury małosyjskiej XVII wieku na rosyjską. Uczynię to, zatrzymując się jedynie przy rzeczach bezwzględnie oczywistych. Pod wpływem Polski, mówi prof. Gr. Pawłuckij³³⁾, przyjęła Ukraina barok i formy cerkwi, zbliżone do bazylikowo-kościelnych katolickich. Jestto dla nas zupełnie proste i naturalne. Ale mniej powszechnie wiadomo, jak dalece wpływ Polski utrzymywał się w architekturze Ukrainy nawet po jej odpadnięciu do Rosji.

Gdy Josif Starcew, architekt moskiewski, zjeżdża do Kijowa w r. 1693 budować Bogojawleńską cerkiew Brackiego monasteru i sobór Wojenno-Nikolski, — rozciąga się tam nad nim kontrolę pilnującą, aby Starcew wnosił w swoje budowle „formy przypominające Polskę, bo ta była droga hetmanowi Mazepie i jego otoczeniu“³⁴⁾.

Że nie był to poszczególny, choć sam przez się doniosły wypadek, świadczą ryciny innych cerkwi i domów zamożnych rodzin małosyjskich, które wzorowały się na naszych obyczajach szlacheckich. Że zaś moskwiczanie XVII w. był wogóle zdolny do budowania w stylu „przypominającym Polskę“, z jednej strony tłumaczy się to ową liczną przed r. 1693 kolonią artystów polskich w Moskwie, z drugiej zaś strony w faktie tym ma się nowy dowód silnego tych artystów wpływu na architektów moskiewskich. — Wo-

bec takich oczywistości nietrudno będzie udowodnić, że operowanie określeniem „wpływ małosyjski“ wtedy, gdy się mówi o cechach nowej w Moskwie architektury, jak np. strzelistość budowli albo zmniejszanie się stopniowe członów wieżycy (Gornostajew), jest nieściśłością, przez którą bezstronni skądinąd autorowie przemilczają w tym wypadku współdziałanie Polski. Zbliżają się oni przez to ku takim, już niedopuszczalnym wyrażeniom, jak np. „typ budownictwa śląsko-poznański“³⁵⁾, które skutkiem unikania wyrazu „polski“ podobne są do smutnej pamięci określić w rodzaju „priwiśliński kraj“.

Z prawdziwym uznaniem trzeba natomiast podkreślić, że prof. A. Uspienski przysłużył się znakomicie nie tylko rosyjskiej, ale i polskiej historii sztuki przedrukowaniem dokumentów, dotyczących licznych malarzów, przebywających na dworze carów XVII w. (Słownik) i napisaniem dłuższej monografii o „polaku“, jak go sam nazywa, Bazyliem (Pawle) Poznańskim³⁶⁾.

Pierwszy też zdaje się prof. Uspienski postawił tezę, że, uznając całe znaczenie stosunków Rusi moskiewskiej z ukraińską, za główny jednak czynnik przewrotu, jaki dokonał się w malarstwie rosyjsko-bizantyńskim XVII w. uważać należy falę artystów, bezpośrednio z Polski i Zachodu płynącą do Rosji (porów. „Oczerki po ist. russk. iskusstwa“, str. 56). W większej ilości ściągnął ich dopiero car Aleksy do „Orużejnej Pałaty“. Nieliczni przed r. 1650 nagle wzrastają oni do liczby sześćdziesięciu w r. 1662, a więc jakby w bezpośrednim związku z niedawnym pobytem cara w Polsce. Później ich liczba powiększa się jeszcze³⁷⁾. „Osobiennie mnogo — mówi uczoney — służyło w Orużejnoj Pałacie chudożnikow — polakow“.

Oto nazwiska te, które ocalały: *Arystowski* Gabryel, uczeń St. Łopuckiego, ok. 1660, *Bajkowski* Antoni 1670—93, *Wileński* albo *Wilimski* Konstanty, ok. 1685 r., *Godziałowski* Jan, ok. 1670 r., (*Hamanowski* (?) ok. 1695), *Kisielewski*, ok. 1674, *Kisłański*, *Kaczanowski* Marcin, *Lisicki* Szymon, ok. 1684, *Stanisław Łopucki* ze Smoleńska, szlachcic w karm-

zynie chodzący i jeżdżący (na własnym koniu), jeden z najdawniejszych, bo już w r. 1655 (Smoleński pochód) przybyły, nauczyciel całego szeregu rosjan i polaków, *Maziłowski*, uczeń ucznia Łopuckiego, *Bezmina*, *Mirowski* od r. 1665. też w karmazynie chodzący szlachcic (przewyższał widocznie Niemca-malarza Engelsa, bo na jego obrazach, jak np. Król Dawid, Królowa Saba, domalowywał twarze), — *Moskal* Jan, od r. 1652, *Odolski* Grzegorz od r. 1681, trzech *Świderskich* (1677—87): Teodor, syn jego Jakób i Maciej, *Skórczewski* Ignacy, od 1675, *Suchliński* Teodor (od 1685 r.), Cyprjan *Umbranowski* albo *Urbanowski*, od r. 1675, *Czczotka* ochrzczony nanowo na Borysa, który (może i dlatego) uciekł w r. 1668, *Palczewski* od r. 1679, *Poznański* Bazyli-Paweł od 1670—1710 i syn jego Maciej.

Razem dwudziestu dwu, nie licząc wątpliwych jak *Hamanowski*, nie licząc też tych, którzy się kryją pod imionami i to zruszczonemi, a są zanotowani jako „inoziemcy“.

Skracając się możliwie, zaznaczę, że w dokumentach prawie o nich wszystkich są wzmianki szczegółowsze, a nieraz długie notatki. Pozwalają one twierdzić, że musieli to być artyści zdolni, kiedy poleca się im wykształcać rosyjskich adeptów, to znów oddaje się im pochwały, lub poleca odpowiedzialne i trudne prace. Część ich wezwana jest, podobnie jak wyżej wspomniani majstrowie, którzy zbudowali sobór w Nowym Jeruzalimie, do ozdabiania pałaców carskich w Izmajłowskiem i Kołomieńskiem siole. Najwięcej jednak pracują oni nad dekoracją ścian w komnatach cara, carewien i carewiczów w Kremlu, a dalej nad portretami, pejzażami (*Maziłowski*, *Skórczewski*, *Suchlański*, *Lisicki*), nad planami „perspektywicznymi“ i nad ozdobieniem takich przedmiotów, jak chorągwie (ze scenami bitw — St. Łopucki), kolasy, szkatuły etc. Że dekoracje ściennie były wysokiem zadaniem artystycznym, nie podlega to wątpliwości. Przedstawiały one Sybille (sic) i aniołów, to znowu całe szeregi scen ze Starego Testamentu i z Ewangelji lub też z historii Rosji i z *opowieści rycerskich*, które przy współdziałaniu Polaki stają się wówczas popularnemi w

Rosji. Takimi to właśnie kompozycjami wstawili się B. Poznański, Lisicki (m.in. autor fresku, przedstawiającego Straszny Sąd), *Maziłowski* (Pieśń nad Pieśniami), *Mirowski* (Dawid, Królowa Saba, Święte Świętych Salomona), *Odolski*, (Sień t. z. Artusowa). Obrazy świętych malują Świderscy. Sufity na polską modłę zaciągane są płótnami, na których np. *Skórczewski* Ignacy maluje świętych i proroków, Lisicki „*Biegi niebieskie*“ i t. p. Wielu z artystów tych powoływano do zdobienia cerkwi. Niektórzy z nich odznaczali się widocznie wielorakiemi uzdolnieniami, bo np. Cyprjan *Umbranowski*, *wysyłany do wielu miast*, był delegowany m. i. do oddziału *kamiennego* przy budowie Siola Izmajłowskiego, gdzie pracował też podmajstrzy, wspomniany już inoziemiec, o nierosyjskiem brzmieniu liter imienia „*Jakub Janow*“ (jak uczeni przypuszczają, z Polski). O poważnem stanowisku artystów świadczą inne jeszcze fakty. Na pochwałę jednego z nie-polaków zaznacza się np. w dokumentach, że maluje on tak dobrze, jak Cyprjan *Umbranowski* (*Uspienski*, op. cit.).

Nie bez satysfakcji dla naszej dumy narodowej zaznaczyć tu można jeszcze ten oto szczegół znamieny. O innych tak licznych wówczas artystach nie-polakach, współpracujących z naszymi w Moskwie, zachowały się wiadomości, że byli oni czasem pospolitymi wydrwigroszami lub intrygantami. Żadnej podobnej wzmianki w stosunku do Polaków niema.— Natomiast czytamy, że Łopucki przepracowywał się i że z narażaniem siebie a z utratą mienia własnego uratował 60 powierzonych sobie do ozdobienia chorągwi. Ambitna brać polska nie dobija się tak o pieniądze, jak artyści inni, toteż niezawsze dobrze na tem wychodzi. Za skromność z dumą połączoną sławi *Uspienski* B. Poznańskiego. Jego list do cara, w obronie godności artystycznej własnej, przytacza uczony autor, jako piękny istotnie historyczny pomnik duszy. Duszy nadto zbołej, tragicznej. Z przepracowania czy wskutek niezdolnych intryg, Poznański po stworzeniu w krótkim czasie szeregu dzieł wybitnych popadł w długotrwałe obłąkanie i do zawodu swego wrócił dopiero po 12 latach.



BAZYLI (PAWEŁ) POZNAŃSKI.
AR. MICHAŁ. RASPIATSKAJA
CERKIEW KREML. 1682 r.

Niestety, z dzieł artystów polskich zachowało się nader niewiele. Malowidła ściennie nie istnieją już. Dość liczne zresztą portrety współczesne XVII w., rozproszone jednak po różnych zbiorach, stanowią dział zabytków rosyjskich XVII w., przez naukę dotychczas najmniej zbadanych, przeto czasami dopiero wypłyną chyba spośród nich utwory pędzla polskiego. Podobnie szczegółowego opracowania wymagają też dzieła złotnicze i srebrne artystów Orużejnej Pałaty, wśród których (wspomnijmy tu nawiasem) są także zabytki wprost z Polski przywiezione, np. z marką krakowską lub podarunki królów polskich dla carów, m. i. wspaniała taca wytłaczana, ze sceną, przedstawiającą bitwę Polaków ze Szwedami.

Oprócz dwu sztandarów roboty Łopuckiego³⁸⁾ i portretu Nikona, przypisywanego temuż artyście przez Leonida (Grabar, VI), mamy tu do zanotowania narazie pułkarski srebny prawdopodobnie roboty Lucjana Domorackiego z r. 1642, wyróżniający się wytłoczeniami³⁹⁾, i — na szczęście — dwadzieścia dzieł B. Poznańskiego, których autentyczność stwierdza bezwzględnie A. Uspienski na podstawie dokumentów Orużejnej Pałaty⁴⁰⁾. Zasadną wielką uczonego jest zarówno odszukanie ostatnich, jak i odkrycie samych dzieł polskiego malarza w Raspiatskiej i Wwercchospasskiej cerkwi w Kremlu.

Postać artysty jest zbyt wielka, dzieło jego zbyt wiele się zachowało, istnieje wreszcie zbyt wiele o nim wiadomości, aby go zbyt krótko w rozprawie, stanowiącej wstęp do szczegółowszych dalszych poszukiwań.

Do następnej więc sposobności odłożyć wypada bliższe rozpatrzenie działalności Poznańskiego, a to tem więcej, że należałoby jeszcze koniecznie zająć się ze stanowiska polskiej historii sztuki nieomówionymi tu pracami autorów rosyjskich i materiałami archiwalnymi, dawnymi już lub dopiero opublikowanymi lub wreszcie mającymi się lada dzień z podłocznymi ukazać⁴¹⁾.

Zaznaczmy tu tylko, że obcy uczonej, prof. Uspienski, podziwia w obrazach polaka Poznańskiego zarówno rysunek, jak

koloryt, ruch i życie, kompozycję i zdolność wyrażania momentów dramatycznych, wreszcie ekspresyjność. — (Oczerki, op. cit., str. 58, 80, 82). Nazywa go też „wielkim artystą—indywidualistą“ (tamże). „Kto widział jego dzieła, nie pomiesza ich już z dziełami innych malarzy“—pisze uczony na str. 58. Ostatnie zwłaszcza zdanie, wobec stałej u Niemców opinii o naszej nieoryginalności, zasługuje na uwagę. Nie waha się wreszcie historyk sztuki rosyjskiej nazywać artystę największym obok Uszakowa malarzem w Rosji XVII w. (str. 82). Dla naszego odczuwania Poznański, swobodniej władający linią i lepiej obznajmiony z anatomją ciała i ruchem, przewyższa bezsprzecznie Uszakowa.

Załączone rysunki pozwalają zrozumieć bliżej szacunek, jakim autor „Słownika carskich malarzy XVII w.“ otacza Poznańskiego. Niepospolite istotnie są linja całości i stylizacja, układ i rzuty fałdów, traktowanie ciała (kolana u św. Michała), szerokie operowanie płaszczyznami, sposób wkomponowania postaci w ramy, a wreszcie niewidoczny tu koloryt. Składają się na niego osobliwie zestawiane zawsze u Poznańskiego barwy, np. na św. Michale: zielona, stalowa, biała, srebrna, niebieska, czarna i żółta. Włosy ciemno-rude. Na obrazie zwanym „Bóg — Emmanuel“ całość utrzymana w trzech

zasadniczych delikatnych odcieniach: seledynowo-niebieskawym, 'zgniławo-zielonym i szaro-brunatnym. Tło postaci jasnokremowe. Nieco złota i koloru białego.

W pracy niniejszej i w przypiskach do niej umyślnie cytowałem dość gęsto i dokładnie zdania uczonych rosyjskich dlatego zwłaszcza, że temat tu poruszony pozostawał dotychczas w dużym zakresie ziemią nam nieznaną. Wymagał on więc przy tem (o ile mi wiadomo) pierwszym u nas zreasumowaniu nieco obszerniejszym dociekań dotychczasowych, natychmiastowego uzasadnienia opublikowanymi już dowodami. A to nawet nie wbrew temu, że piszący pragnął rzecz swoją podać do wiadomości kręgów szerszych, niż koła naukowych tylko specjalistów.

Umyślnie też zakończę streśczeniem słów prof. Uspienskiego. Dzięki mistrzom zagranicznym malarz rosyjski przywykał do nowego odświeżającego sztukę bizantyjską piękna. Zapoznawał się z artystyczną kompozycją i układem szat, z nowymi zupełnie tematami i detalami, z perspektywą, pejzażem i widokami architektonicznymi miast i budowli. Uczył się zbliżać do przyrody, studjować anatomję, ruch, indywidualny wyraz i światło. Ciemne w kolorycie obrazy moskiewskie stają się dzięki „inoziemcom“ jaśniejszymi i żywszymi,



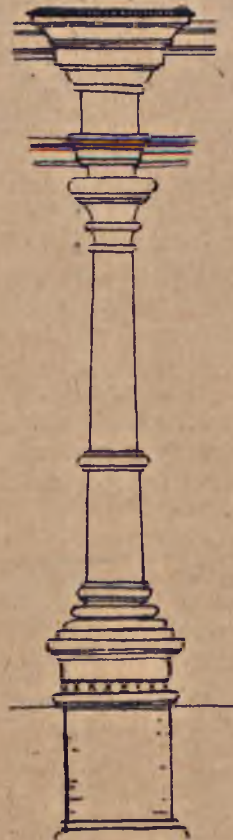
B. POZNAŃSKI BÓG EMMANUEL .OK.1680_R

napływa w nie powietrze („Oczerki“, op. cit., str. 57).

Zapewne: wśród zagranicznych mistrzów zachodnich wcale liczni byli nie-Polacy: Niemcy i Holendrzy zwłaszcza. Ale nigdzie niema dowodów, aby przewyższali naszych ilościowo lub jakościowo. Przewaga liczebna była po naszej stronie. Wszak autorytet w dziedzinie historii sztuki rosyjskiej stwierdza: „Osobienno mnogo służyło w Orużejnej Pałacie chudożników—Polaków“. Wyżej wskazałem, jak wiele danych przemawia za tem, aby uważać ich za siły poważne. Podniosę jeszcze, że car Aleksy (podobnie jak jego rodzina), zwolennik zachodu i lubownik sztuki, łatwo mógł sprowadzać więcej artystów nie-polaków, a tego nie czynił, że zachowane dotychczas a liczne przedmioty sztuki, którymi był otoczony, zmuszają nas do uważania tak jego samego, jak najbliższych mu za jednostki przyzwyczajone do dzieł wysoce pięknych. Lichym artystom ani on, ani jego otoczenie nie powierzałoby dekoracji ściennej pałaców, albo roli profesorskiej względem młodych uczniów-rosjan, o których wykształcenie dwór miał widoczne z aktów staranie.

Zgodziwszy się z tem ostatecznie, sceptycy mogliby jednak wysunąć jeszcze takie zastrzeżenie: z wyjątkiem może Poznńskiego byli oni jednak pewno i wyłącznie tylko naśladowcami Zachodu. Odpowiedź wypadnie, że cała ówczesna epoka jest kosmopolityczna w sztuce, że zatem zarzut ten rozciągnąćby należało na mnóstwo artystów innych krajów, którym nikt nie odmawia jednak zaszczytnego stanowiska, a poziom artystycznego dzieła ich nie nazywa dlatego niskim. Kwestja nieoryginalności powinna być ostrożniej wysuwana. Wszak niedawno wykazywał Chłędowski (Rzym, Ludzie Baroku, wstęp.), uczony, którego o niechęć do XVI wieku w sztuce włoskiej podejrzewać niemożna, jak mało oryginalny był Renesans Italji XVI w. w zakresie sztuki dekoracyjnej, jak niewolniczo trzymał się on często wzorów, przez starożytność przekazanych.—Z wielu pomysłałmi i członami architektonicznymi rzecz miała się podobnie w owej epoce.

Oдноśnie do naszego jednak tematu możnaby usłyszeć jeszcze inne zdanie:



MOTYW z BRAMY IZMAI ≈
ŁÓW/KIEGO DWORCA 1680R

skąd tylu wybitnych polaków-artystów w Rosji XVII w., kiedy tak mało słyszymy o nich w kraju w owym czasie? Tu trzeba powiedzieć: to, ile wiemy, niczego nie dowodzi o tem, jak było. Wszak póki archiwa rosyjskie nie zostały przestudjowanemi, skąpe także i mętne były wieści, jakie doszły do XIX wieku o sztuce Rusi moskiewskiej w w. XVII. Carskie archiwa ocalały w niezwykłym komplecie, a co stało się z naszymi, koronnemi? Rozdrapane, wywiezione, w tym stanie, w jakim dochowały się dotychczas, kryją one niewątpliwie skarby wiadomości o sztuce polskiej, i należy też wyzyskać pobyt nasz tu, na emigracji, aby je i pod tym względem zbadać wreszcie dokładniej. Powtóre: rozległa Rosja nie ucierpiała tyle od wojen i grabieży w ostatnich 300 latach, co szczuplejsza od niej terytorjalnie Polska. Nie zginęło w niej tyle dzieł sztuki

ki i archiwów klasztornych, miejskich i prywatnych. A własna państwowość pozwoliła jej wydać sumy wielkie na ekspedycje i publikacje naukowe, podczas gdy polska nauka z ostatnim wysiłkiem i w ograniczeniu tylko poniewolnym kosztowne może prowadzić badania, drukować wydawnictwa. A wreszcie: jeśli gdzie, to u nas, artysta — polak nie był prorokiem w kraju, boć przecież modne było ściąganie obcych do kraju. Ze rodzimych wysokich talentów mieliśmy jednak wiele w w. XVII, mnożą się z roku na rok dowody, ale siły te niepopierane dostatecznie szły widocznie szukać chleba na takiej obczyźnie, gdzie się widoki dla nich odkrywały. Osobliwie zaś trudno nam

nawet mieć wyobrażenie, na jak olbrzymią skalę budowała się i ozdabiała Ruś moskiewska od czasu wojen zwycięskich, za szerokokorzystnego Aleksego i jego dzieci. Tu jest klucz do zrozumienia zagadki.

I tym nieznanym, zapomnianym poprzednikom naszym w tułaczce na wschód, niosącym światłość sztuki i cywilizację, należy się pokłon tem głębszy, że tak dawno dłużny. A będzie to jeden z pokłonów, po których podnosimy się wyżej. Podniesie nas myśl, dla której zlekka jeno zarzewie tu rozdmuchane, że w tej także dziedzinie—na polu sztuki—mniej dawaliśmy się dystansować sąsiadom, byliśmy siłą większą, niż sami sądzimy.

Marjan Morelowski

PRZYPISY.

1) Szereg filozofów francuskich XVIII w., oczerniających Polskę, brał honoraria i pensje od monarchów państw rozbiorowych. Opinie ich zebrał pouczająco przed trzydziestu laty Wacław Gasztott w Paryżu.

2) Krzysztof Grzymułtowski, 21 i 22 lutego 1685 roku.

3) „Akademja duchowna kijewo-mohylańska”. „Wszędzie widoczny był wpływ Polski” — pisze autor i daje na to niezliczone dowody i przykłady. Od czasu wydania tego dzieła wyszło w Rosji mnóstwo publikacji ułatwiających dalsze studia.

4) Vide: Kallasz i Efros, op. cit. „Komedja na Roźdiestwo Christowo” i in.

5) Patrz pięknie popularną rzecz ogólną o wpływie cywilizacyjnym Polski na Rosję J. Grabowskiego w „Nowinie”. Warszawa 1915.

6) Godne zbadania materiały archiwalne u Bogojawleńskiego: „Moskowskij teatr pri cariach Aleksieje i Pietrie”. M. 1913.

7-a) N. Sobolew: „Rieznyja izobrażenia w moskowskich cerkwach”.

7-b) Protojerej W. M. Metallow: „Oczerk istorji prawosławnaego pienia w Rossii”. Moskwa, 1914 (Zapiski archeol. Inst. T. XXXVI), zwłaszcza na stronach 78—92. Szczególnie ważne dla nas, ze względu na panujące dotychczas w nauce rosyjskiej mniemanie o przewadze wpływu małoskiego, są słowa: „nowoje pienie, zanesionnoje w Wielikorossiju także kijewskimi južno-russkimi piewczimi, no boleje wsiego polskimi reglentami i kompozitorami” (§ 28, str. 84). Należałoby koniecznie z naszej strony wysświetlić bliżej pochodzenie i działalność takich muzyków w Rosji, jak wspomniani u Metallowa: Ternopolski, Kolenda, (Milewski ?), Koniuchowski i Mikołaj Dylecki.

„Sam Dylecki—pisze na str. 87 Metallow—wydał jeszcze w 1677 r. w Smoleńsku porosyjsku „Grammatiku pienia musikijskago”—obszerną księgę w 6-ciu częściach, której rękopisy znajdują się w Bibl. mosk. Arch. Min. Inostr. Dieł nr. 532, w Moskwie. Duch. Akademji i w bibl. Sacharowa, który pisał o niej w swoich „Izśledowanjach”. W r. 1678 Dylecki wydał ową „Grammatikę pienia” ze zmianami popolsku w Wilnie p. t. „Ideje grammatyki muzycznej”. Trzy rękopisy ostatniej znajdują się: jeden w Bibliotece Moskwie. Akademji Duch., drugi w Bibliotece Synodalnej szkoły muzycznej, trzeci w Bibliotece Twerskiego seminar. duchownego (p. str. 88). Ważne dla nas inne jeszcze rękopisy muzyczne i nuty XVII w. znajdują się, jak ze słów autora wnosić należy, nie tylko w tych bibliotekach, ale i w Publicznej bibliotece mosk., w bibliotece T-wa historycznego i w Moskiewskiej Orużejnej Pałacie (str. 86—88). Między innymi wartoby uczynić studia porównawcze między nieznanymi pewno w Polsce rękopisami rosyjskimi prac Dyleckiego, których Metallow wspomina jeszcze więcej, a pismami jego polskimi. Szczegóły o Dyleckim, wychowanku szkół wileńskich, znajdują się w broszurze Metallowa „Starinnyj traktat po teorji muzyki” z 1679 r. Zbiory rosyjskie w Kijowie i w innych miastach dawniej kresowych Rzplitej powinnyby przykuć uwagę polskich historyków nie tylko sztuki i literatury, ale i muzyki, a tacy znajdują się pewno między stałymi mieszkańcami tych miast lub między emigrantami chwili obecnej.

8) Np. kościoły Karmelitów i Jezuitów w Poznaniu, stawiane przez Wąsowskiego w XVII w.; wspaniały zbiór ornatów z XVII w. u Benedyktynów w Sandomierzu, lub przepiękna ambona

u Klarysek w Starym Sączu, dokumentami stwierdzone przez St. Tomkowicza dzieło rąk polskich, pełne świeżej, śmiałej fantazji, uroczą techną ludową nieco naiwnością.

9) Stanisława Łopuckiego, szlachcica polskiego ze Smoleńska, malarza, rysownika i perspektywistę, car Aleksy wynagrodził dwukrotnie w r. 1668 za to, że nie dał się nakłonić polskim posłom do powrotu do kraju. Gdy Maziłowski, autor „lenczaf-tów“ (krajobrazów) i fresków w komnatach carewien, uciekł w r. 1654 z Moskwy, poszukiwano go długo (Uspienski: „Carskije ikonopisy i żywopisy XVII w. Słownik“ M. 1910).

10) Nieścisłość terminologii tej przyznają już dzisiaj uczeni rosyjscy. Porów. Biłjograficzny „Letopiś“, I (1914), str. 25. P. Żukowicz i str. 11. Porów. też Uspienskiego: „Drewnierusskaja żywo-piś“, str. 56.

11) Z. Librowicz w cennym dziele „Istoria knigi w Rosji“, Wolf. 1914, T. I, przytacza świadectwo Fletczera, anglika, XVI w., stwierdzające, że pierwsi drukarze rosyjscy uczyli się sztuki swej w Polsce (str. 70). Towarzysz i prawdopodobny nauczyciel założyciela carskiej drukarni w Moskwie, Iwana Fiodorowa, pochodził z Rzeczypospolitej, z Mściśławia (str. 68). Przechodząc koło pomnika I. Fiodorowa w Moskwie (nieдалеко od Metropolu), warto polakowi wspomnieć o tem, że mistrz ten wydrukował swoje Ewangielje w Zabłudowiu (dziś Grodzieńska gub.) kosztem protektora swego, hetmana litewskiego Chodkiewicza (str. 79 i 80). Pracował też w Ostrogu i we Lwowie, gdzie umarł. Szczegóły te, ciekawe same przez się, mają bezpośrednie znaczenie dla naszego tematu. Drzeworyty w drukach Fiodorowa i późniejszych przedstawiają często motywy architektoniczne (słupy, filary, łuki i ornamentacje) w stylu późnego renesansu i baroku. Są to więc wzory zachodniej architektury, zapośrednictwem Polski, nie zaś tylko Niemiec i Włoch, wprowadzone do Rosji. Pierwsze słowiańskie (nie rosyjskie) literami drukowane książki jawią się w Pradze 1475 r. i w Krakowie r. 1491 (u Fieola). Niewiadomo uczonym, czy druki czeskie zawędrowały do Rosji, natomiast warto podać tu szczegóły, którego w rosyjskiej literaturze nie spotkałem, że trzy druki Fieola z r. 1491 znajdują się wśród starożytnych książek Niłkowskiego monasteru za Preobrażeńską rogatką w Moskwie, prawdopodobnie od dawnych bardzo czasów. Wiadomość tą zawdzięczam p. Wojciechowi Heydlowi, który stwierdził rzecz na miejscu.

12) Przyznaje to nawet I. Grabar (op. cit. VI, str. 515), nazywając druki takie niewyczerpanym źródłem pomysłów i wzorów dla malarzy. Dodajmy, że architekci mogli niektóre karty tytułowe polskich druków użytkować jako gotowe wzory przepięknych portali i ozdób okiennych. Obacz np. na rycinie naszej kartę tytułową Ewangielji rosyjskiej, drukowanej w Jewiu (pod Wilnem) u K. Ogińskiego w r. 1617. W Moskwie bezpośrednio reprezentował sztukę drukarsko-drzeworytniczą polską „Onisim“ Radyszewski z Ostroga już około r. 1606—1610, Librowicz, I, 121—122, i Leonid, str. 354. Patrz też u Librowicza szereg nazwisk polskich wśród drukarzy z kresowych dzielnic Rzplitej.

13) N. N. Sobolew: „Rieznyja izobrażenija w moskowskich cerkwach“, str. 90.

14) Sobolew, op. cit. Typowe okazy takiej sztuki można oglądać w zbiorach reprodukcji Dunajewa: „Dierewjannoje zoddczestwo Kostromskoj guberniji“, Moskwa, 1915, str. 16 i plansze 52, 55, 56. Czynią one wrażenie wprost z Polski przyniesionych Jezusów przydrożnych i t. p., choć są tylko ich naśladowaniem. Typowym okazem sztuki takiej, nawskroś polskim przejętej duchem, jest Pieta w korytarzu cerkwi w Ostankinie pod Moskwą i wiele innych.

15) Sobolew, op. cit., str. 93.

16) I. Grabar, op. cit., II, str. 117, 417 i Gornostajew. Cytat jest zbyt ważny, aby go nie przytoczyć dosłownie: „Polscy i litewscy wychodźcy — majstrowie, którzy zbudowali świątynię w Nowym Jeruzalimie, wnieśli ten typ rzeźby, który znany jest pod nazwą „białoruskiej rzezy“. Nazwa „białoruska“ jest więc nieścisła, trzeba by mówić: polsko-białoruska.

17) Cf. Jabłonowski, op. cit., i Leonid: „Istoriczeskoje opisanje N. Jeruzalim. monasteria“, M. 1876. Nikon tak cenił swych polskich artystów, że jednego z nich, Piotra Zaborskiego, po śmierci uczcił szczególnie pogrzebem. Kamień nagrobkowy wysławia pamięć jego, jako znakomitego artysty, specjalisty od wyrobów w złocie, srebrze, miedzi, kaflach i „wszelkich rękodzielnich chytróci wyinalaczy“. Leonid, op. cit., str. 18.

18) Do takich skaptowanych, zdaje się, należał Rafał Pomeranski, lekarz, po którym dodziś zachowuje się w monasterze, oprócz „Domowej apteki“ (Kraków 1670), rękopis „Vocabula Medicamenta“. Byłoby może wskazane dla historii przyrodoznawstwa i medycyny w Polsce zbadać ten rękopis, podobnie jak „Trawniki“ polskie w Moskwie i dzieła Gurczyna (Vide przypisy, nr. 22 i 41; Leonid, op. cit., str. 353; o Polaku bez nazwiska, a mnichu prawosławnym, tamże, str. 113. Jeden to więcej dowód, że imiona rosyjskie przy polskich nazwiskach artystów nie dowodzą pochodzenia rosyjskiego. Imiona rosyjskie bywały w Rosji dodawane. Znakomity malarz polak Poznański, zwany stale Wasylem, nosił prawdopodobnie imię rzeczywiste Paweł, raz wspomniane w papierach XVII w. (Uspienski „Słownik“). Zresztą polskie pochodzenie wielu cudzoziemców w N. Jeruzalimie stwierdza Grabar, Gornostajew, Szuszerin i Leonid (str. 13), nazywając ich „Polaki, Czerkasy (Małorosjanie) i Bielorusy“. I. Grabar — ob. cyt. str. 417 op. cit. i „Oczerk“ Gornostajewa, str. CXLVII, a także CLXXX i CXCVIII.

19) Dotychczas istnieje w Polsce szlachecka rodzina Wołków, znana jako polska już od XVI wieku (Gloger). Jest znaczne prawdopodobieństwo, że ów Wołczek zwał się albo Włczek, albo Wołk. Zamiana Wołk na Wołczek byłaby analogiczna do innych zdrobnień, jakie spotykamy w dokumentach rosyjskich XVII wieku przy nazwiskach artystów polskich. Tak np. jeden z wybitniejszych rzeźbiarzy-cieśłów, wspomniany już Klimko Michał, zatrudniony później przy ozdabianiu słynnego Kołomińskiego dworca, występuje w dokumentach raz jako Klim, to znów jako Klimko (Uspienski, „Słownik“). Nie umiał on pokwitować rachunków porosyjsku i podpisywał się łacińskimi literami, na co przez kilka lat pozwalano. Wiadomość tę zawdzięczam uprzejmości profesora N. N. Sobolew.

lewa, który miał w ręku dokumenty, dotyczące Klima-Klimka, i uważa go za Polaka.

20) A. Uspienski: „Carskije ikonopisy i žiwopisy XVII w. Słownik“, M. 1910. Należy też do nich podmajstry-budowniczy, Jakób Janow, wspólnie z Dekentinem autor budowli w Izmańlowie (obacz rycinę Słup z Izmańlowa), uważany przez dzisiejszych uczonych za „inoziemca“ z Rzplitej. Zachowana pisownia jego nazwiska, Jakub, nie zaś Jakow, jak i brzmienie Janow (t. j. syn Jana), nie Iwanow, są zupełnie nierosyjskie, brzmią popolsku. Dotychczas mówią u nas włościanie „Janów syn“ zamiast „syn Jana“.

21) Grabar, op. cit., II, str. 417, conf. Gornostajew „Oczerk“ etc., op. cit., str. CXLVIII.

22) Cf. wielotomowe dzieło zbiorowe ku czci Zabiłina p. t. „Moskwa w jeja przeszłom i nastojaszczem“, gdzie znajdujemy dłuższy spis tytułów polskich ksiązek z ówczesnych ksiąznic moskiewskich (różne Trawniki, dzieła historyczne, Baronius i t. d.). Znaczną rolę w dostarczaniu dzieł polskich Moskwię odgrywają emigranci, uczeni prawosławni z Ukrainy. Że jednak nietylko koła profesorskie w tym kraju zbierały ksiązki nasze, świadczy np. arcyciekawo: „Opis dwiżmago imuszczestwa gietmana Iwana Samożłowicza“, dokonany z racji konfiskaty jego majątku na rzecz skarbu carskiego w r. 1690. Archiw. min. Sprawiedl. Russkaja istoriczesk. biblioteka, T. VIII, str. 950—1203. Porów. też Kallasz i Effren, op. cit., T. I., Jabłonowski, op. cit. Katalog patriarszej Biblioteki z r. 1718, wyd. O. L. D., Moskwa 1894, Katalog słow. ksiąg od 1517 do 1821 Bibl. M. arch. M. Inostr. Diel. Petrogr. 1888 (co do druków polskich).

23) Z. Librowicz: „Carica Agata Siemionowna“. M. 1913. Gornostajew: „Oczerk drewniagu zodeczestwa Moskwy“, CLXVI (w przewodniku architek. po Moskwię, wydanym przez T-wa architektów w Moskwię).

24) Daty powstania u Zabiłina: Monografia klasztoru.

25) Leonid, op. cit., str. 150, 152 etc.

26) Wiadomość tę zawdzięczam Profes. N. N. Sobolewowi, który równocześnie pokazywał mi na rycinie barokowe krzesła XVII wieku, do których słowa te się stosują.

27) Dwie ostatnie wiadomości zawdzięczam jednemu z techników polskich, zdawna w Rosji zamieszkałych.

28) Cf. „Bibliograficzeskaja Lietopiś“, II, 1915, str. 41.

29) Gornostajew: „Oczerk“ i t. d., op. cit., str. CLXV, i Librowicz, op. cit., str. 153.

30) Russk. istoricz. Bibliot., VIII. Opis majątku hetmana Samożłowicza, str. 1, 061 na dole.

31) Zwolennicy widzenia we wszystkim wpływu niemieckiego podkreślają w tych wypadkach tylko ostatni, nie zwracając uwagi, że słowa te w języku rosyjskim noszą na sobie wyraźne ślady przejścia przez Polskę. Porów. jeszcze z XVII w. „Koroksztyny“ nie zaś „Koroksztejny“ (u Grabara).

32) Szczegół ten odnalazł świeżo p. St. Rogoż w Synodalnej bibliotece w Moskwię przy poszukiwaniach bibliograficznych dla Wydziału op. n. zabytkami przy K. P. w Moskwię. Jednym ze wspomnianych właścicieli dzieła St. Solakiego był

rektor ówez. mosk. Akademji, S. Miedwiediew, „stroitiel“ Zaikonospasskiego monastyru, drugim Fiodor Polikarpow.

33) „Kamiennoje cerkownoje zodeczestwo na Ukrainie“. Grabar, II, str. 283—416.

34) Pawłucki, op. cit., str. 400.

35) J. Grabar, II, str. 367.

36) W zbiorze p. t. „Oczerki“ etc., op. cit.

37) Op. cit., str. 57. Porów. też w monografji W. Poznańskiego, op. cit., str. 75, słowa: „My znajem, czto pośle smolenskago pochoda caria Aleksieja Michajłowicza w Moskwu przybyło **oczeń mnogo polakow** słužit' cariu w Orużejnoj Pałatie i drugich uczeżdżenjach“.

38) Porównaj olbrzymi katalog rozumowany Orużejnej Pałaty, nr. 4070 i 4071.

39) Znajduje się w „Mosk. Patriarszej riznicy“ Porów. Troickij W. I.: „Mastiera-chudożniki zolotago i serebriannago diela w Moskwię w XVII w“. Zapiski M. Arch. Inst. T. XXXVI M. 1914, str. 160. Wspomniani tam są jeszcze m. in. inoziemiec Floras niewiadomej narodowości, którego dzieło jedno dotąd istnieje, i Jud.ński, wyglądający z dokumentów na bardzo bogatego kupca-złotnika.

40) W Małorosyjskich aktach Arch. Sprawiedliwości znaleziono dokument, świadczący, że jakiś Josif Poznański, izraelita, przyjął w r. 1691 prawosławie. Prof. Uspienski ze słuszną ostrożnością uczonego zapytuje tylko na podstawie tego papieru, czy Wasyl (Paweł) P. nie był jego krewnym. Natomiast I. Grabar (T. VI) bez żadnych dalszych dowodów mieni go izraelitą bez dodatku: z Polski. Co do Poznańskiego należy zaznaczyć, że dotychczas istnieją dwa stare rody polskie tego nazwiska: jeden herbu „Bożawola“, drugi „Pożniak“. Jak wiadomo, żydom było obce malarstwo figuralne, sztuka zaś Poznańskiego przesiąknięta jest elementami katolickimi w tym stopniu, że trudno przypuścić tu neofitę. Widne to z jego obrazów i ze słów Uspienskiego. Ostatni zwie go stale i krótko polakiem. Niema też najmniejszych poszlak, aby miał on krewnych w małoruskich krajach. Nawet gdyby był izraelitą, co wobec powyższych uwag jest wysoce wątpliwe, to nazwisko jego wskazuje, że przyszedł z Polski, a sztuka jego, że był nawskrós przepojony elementami polsko-zachodniej kultury.

41) Do takich należy na przykład Rowińskiego „Słownik russkich grawierow XVI—XIX wieku“. z r. 1895, zawierający dużo nazwisk rytowników polskich, na co słusznie zwrócił uwagę prof. J. Jakubowski w cennej pracy swej, odkrywającej nieznane dzieła polskiego zapomnianego rytownika XVII w., T. Makowskiego. Ważne są dla nas także dzieła W. W. Stasowa, z których o rytownikach polskich w Rosji XVII wieku dowiedzieć się można, i t. p. Z najnowszych wydrukowanych i drukujących się prac wymienimy tu: „Sbornik statiej w czest' gr. Uwarowoj“, M. 1916. Omawiając go świeżo w „Echu Polskiem“, p. Paweł Ettinger bardzo słusznie wyraził przypuszczenie, że przedstawiony tam bliżej Daniel Hurczyn vel Gurczyn, carski aptekarz, pisarz medyczny i poeta polski końca XVII i pocz. XVIII w. w Moskwię, sam był autorem pięknych sztychów w swoich dziełach. Na poparcie tego twierdzenia można tu dodać, że w Polsce żył między 1610 a 1676 r. Jan Alexander Gorczyń, a wiadomo, że

kunsztu takie utrzymywały się bardzo często w rodzinach, przekazywane z ojca na syna, lub na krewnych (porów. Pamiętnik wystawy starych rycin polskich. Warszawa, 1914). Do osoby Górczyna-Górczyna (dzisiejsze ó kreskowane pisano się dawniej „o“) powrócić warto. Wymieńmy dalej dzieło Sobolewa „Rieżba w Rossii“, i w. i. Olbrzymi materiał bibliograficzny, ważny dla tematu niniejszego, ułatwia m. i. odnaleźć: „Bibliograficzeskaja Lietopiś“, Katalogi wydawnictw Komisji archeograficznej, Archiwum Min. In. Dieł, Sprawiedliwości i in. Szczególniej godne uwagi są też wydawnictwa naukowe kijowskie. Odnalezienie śladów działalności artystów polskich w Rosji i śladów wszelkich wogóle polskich zabytków w imperjum ułatwiłyby niewątpliwie (jak na to już są dowody) poszukiwania w monografiach cerkwi

i monastyrów rosyjskich, jakie przy nacisku sfer oficjalnych w olbrzymiej ilości zostały już opublikowane. Szczegóły te podaję w tej zawsze myśli, że w powodzi wydawnictw naukowych rosyjskich łatwo przeoczyć niejedną pracę, mogącą zawierać ważne dla nas wiadomości, nadto zaś w przekonaniu, że temat niniejszy jedynie przy współdziałaniu szeregu jednostek mógłby być należycie opracowany. Inne też zajęcia nie pozwalają piśzącemu oddać się należycie temu pociągającemu tematowi. Prosi on jednak życzliwych czytelników, aby — zwłaszcza jeżeli sami danego materiału opracować nie zamierzają — odkryte przez siebie szczegóły bibliograficzne i in., dotyczące artystów i zabytków polskich w Rosji, zechcieli nadesłać autorowi pod adresem Komitetu Polskiego w Moskwie (Wydział opieki nad zabytkami).



(Ozdoba z dzwonu ewakuowanego)

W DZIEŃ ZADUSZNY

I

Nie będę tobie nigdy kwiatów nosiła...
Nie będę nigdy chodzić do ciebie w gości...
Daleka — cudza będzie twoja mogiła,
Grób, w którym obcy ludzie złożą twe kości...

Nigdy — miły — nie będę klęczeć przy tobie,
Nigdy — miły — nie będę pocałunkami
Rozgrzewać zimnej ziemi na twoim grobie,
Spijać z niej łez gorących swemi wargami...

Modlitwa moja tobie nigdy nie będzie,
Jak kołysanka cicha do snu nucona...
...Pustka cię jeno głucha chłodem oprzędzie,
Wiatr cię ujmie przydrożny w zimne ramiona.

I tylko może czasem ta złota gwiazda,
W dalekiej swej po niebie drodze tułacznej —
I tylko ptak ten szary — lecąc do gniazda —
Żołnierzu mój... samotny grób twój zobaczy...

II

Na nieznanomy, obcy, zapomniany grób —
Przychodzę dziś—o mroku—w ten Zaduszny dzień...
(Tyżeś to? tyżeś, miły, westchnął u mych stóp?
Twoich zpod zimnej darni nadstłuchuję tchnień?)

Targane wiatrem zżółkłe, zwiędłe liście drzew
W dziwny jakiś nad grobem unoszą się tan...
(Twojaż to czarną ziemię przepoiła krew?
Z twoich płynąca żywych, niezgojonych ran?)

Za wrót cmentarnych płynie zimny oddech pól
Mrok na mogiły pada chłodem drżących ros...
(Twój-to się zbudził ze snu w zimnej ziemi ból?
Twój-to w jesiennym wichrze zabłąkał się głos?)

Stargane, zżółkłe liście ścielą się u stóp,
Skarżąc się głośnym jękiem na mogilny chłód...
...Nieznajomy, samotny, zapomniany grób,
Klęcząc, całuję usta — zimnemi jak lód.

Helena Duninówna

ZMIERZCH

O zmierzchu, kiedy kona dzień posępny, szary,
W wytchnienia przedwieczorną ukojną godzinę —
Na lasów oddalonych patrzę wstęgi sine,
Na ogród pusty, rzyńska i zradne moczary.

I w chwili takiej sennie przymykam powieki,
Z zapadłych grobów widma wywołuję blade —
I na rany ich trwożnie ręce swoje kładę,
I w sen zapadam dziwny, od dzisiaj daleki.

Pobojowiska dawne... Stoczek, Ostrołęka,
Reduty zapomniane, ułani, pułk czwarty,
O wolność orlich skrzydeł bój ciągły, zażarty — — —
I dusza moja w zbożnym skupieniu przyklęka.

A potem widzę siebie... gdzieś we mgle... w oddali,
Ściskam w rękę mej szpady pozłocaną gardę —
I na szańcu jej ostrzem piszę słowa harde,
Że umrzeć mi nie dano, gdy t a m c i konali...

I jeszcze jakieś widmo — a nikt się nie dowie,
Kto był ten żołnierz siwy, mgłą wspomnień zasnuty,
Co smętnie jeno patrzył na szczątki reduty
I długo salutował milczące pustkowie.

Bogusław Jerczyński

DO SIOSTRY

Tak dawno, siostró moja,
Od ciebie czekam wieści...
Huczy mi jeno wicher
I zwiędły liść szeleści.

Dziela nas góry, rzeki —
I mur bagnarów wraży,
A serce moje ciągle
O tobie, siostró, marzy.

Z dalekiej obcej ziemi,
Z tułactwa i podróży,
Chciałbym ci przywieźć, siostró,
Kwiat, który szczęście wróży.

Chciałbym ci przywieźć, siostró,
Kwiat, co się w słońcu złoci
Przedziwną tęczą blasków —
Uroczy kwiat paproci.

Chciałbym ci złożyć w darze,
Gdy przejdę próg twojej chaty,
Opale i rubiny
Lub pereł sznur bogaty.

I jeśli do ojczyzny
Bóg wrócić mi pozwoli —
To opowiemy sobie
O Doli i Niedoli.

Pogubię może w drodze
I kwiaty — i klejnoty,
Nic może nie przywiozę —
Krom zrażęj mnie tęsknoty...

Bogusław Jerczyński

PRZED BITWĄ

W bojowe surmy graj —
idziemy w bój,
na trud, na znój,
chwalebny zgon nam daj —
Bogarodzico!

Idź w krwawy boju krąg!
Niech biały ptak,
nasz święty znak,
wyleci z Twoich rąk —
Bogarodzico!

Niewoli mija noc.
Kajdanów dźwięk,
męczarny jęk —
wezbrały w wielką moc —
Bogarodzico!

I jako święty dzwon
rozbrzmiewa zew:
męczarna krew
na Polski zwie Cię tron —
Bogarodzico!

Królowo naszych pól —
Ty nami rządź,
na tronie siadź,
królować w Polsce zwól —
Bogarodzico!

Chwalebny daj nam zgon —
idziemy w bój,
na trud, na znój,
by dać Ci w Polsce tron —
Bogarodzico!

K. Sędziuk

W ZATRACENIE

Przedburzowy wicher miotał gałązkami polnych, przegibnych brzoź, z szumem głuchym i posępnym biegł łanami złotej pszenicy i w niedalekim borze budził już echa groźne i warkliwe.

Niebo zasnute było czarno-burymi zwałami chmur, co sunęły wolno i leniwie, świecąc coraz częściej brylantowym sznurem oślepiającej błyskawicy i coraz głębszy mrok rzucając na dalekie, zielone pola, martwe jeszcze szyby stawów i ciemny, gwarliwy już las.

Chwilami jeszcze padała głucha, długa cisza, prześlizgiwała, zda się, poprzez role swój lekki dech, przypadała trwożnie do stóp wśródpolnych drzew i martwiało w oczekiwaniu.

...Więc porywał się, jakgdyby z dołu, od ziemi, wicher coraz mocniejszy, gwał przed się pijany radością, wpadał w las, wspinał się po wierzchołkach drzew wyżej i wyżej i przynosił z lasu kłęby i zwoje burego, brudnego dymu — dymu, co włókł się gęstą kitą ku posępnym chmurom i zdawał się wieścić groźnego coś i coś przerażającego...

...Bo w wichrowy szum wpadał co chwila wark zły, wark basowy, raz bliski, raz daleki — głos dziwny, idący w dale echem długo-żałośliwym, echem, które nie konało, nie martwiało nawet na króciutkie mgnienie...

Burza-li to idzie zwałem chmur potężnym i wieszczbą piorunów tętni?

Nie — to nie był głos burzy, to nie był gromów wark...

Z lasu — na wąską drogę polną — wyszła gromada ludzi. Tłoczyła się wolno przed siebie, zbита w kupkę trwożną i milczącą. Chłopi co chwila odwracali głowy i ponure ich wejrzenia — krwią zaszcze oczy — nieuchronnie kierowały się na ów kłąb burego dymu, co wraz obfitszą strugą wypływał, wystrzelał z lasu. Wicher miotał ich długą, czystą odzie-

zą, wicher, sycząc, wpadał w łany złotej pszenicy, targał zbożem z wściekłością i znów nawracał swój dech palący w twarze posępne i, zda się, szydził, ohydnie wydrwiwał:

— Dokąd-to, dokąd, polscy gospodarze? Dyć zboże dojrzało, uprzątnać je czas, a wy dokąd? Adyć burza idzie, a wasze chałupy bez stróża ostały?

— O Jezul — przebiegł wśród gromadki rozpaczny szept, gdy z lasa buchnął zagnęła nowy dymny słup — a jednocześnie stokroć posępniejszy rozległ się huk dział...

— Miemce przyszły — szepnął ktoś z taką wściekłością, że najbliżsi spojrzeli nań wystraszeni, szepcąc drżącymi wargami:

— Kto się w opiekę...

— Adyć, ludzie, ludzie! — zagórował głos sołtysa Klimkowskiego — ludzie dobre i krześcijańskie! Przypomnijta, co wama ksiądz w ostatnią niedzielę gadali: żeście som polski naród, co hardy jest i nieustępujący, ziemię swą więcej, niż siebie, kochający, i zawsze k'niej, jako dzieciak do matki, wracający! Uderzta się, somsiady miłe, w piersi i słuchajta, co wam syrce mówi: że się z za morza i gór do tej ojcowizny wrócim, chociaby tu i kamień na kamieniu nie ostał, chociaby nama ręce od roboty odpaść miały, chociaby... O, tak-ze mi, Panie mój, Boze Sprawiedliwy, dopomóż! Jeśli ja tu nie wrócę, chałupy nie postawię, świętej ziemi nie zaorzę! Adyć niech mie piekło pochłonie, niech-ze mnie robacy-ska za życia jedzom, adyć — jeśli tu nie wrócę... — Olbrzymia, barczysta postać Klimkowskiego zatrzęsła się w jakimś spazmie rozpaczy, i, ściśnięte pięście wyciągnawszy w stronę lasu, niesamowicie już wykrzyknął:

— A bogdajbys przez wieki gnił, co ludzi z rodzonej ziemi pędzisz! Adyć

zboże na polu, owoc w sadzie... O...
Boże...

Ujęli go najbliżsi za ramiona, żona
przypadła mu do piersi, i jakoś go uspo-
koili.

Ktoś rzekł:

— Burza już, już. Chodźwa, do Zbo-
jewki zdążymy.

Ruszyli.

Huk działa stawał się coraz głośniej-
szym. Bury dym płynął zza lasu całą już
teraz chmurą i łączył się z wałem po-
sepnego nieba. Na ludzi padł teraz dzi-
wny lęk i strach, ścisnęli się bardziej
jeszcze w szeregach, szli prędko, nie mó-
wiąc nic i nie oglądając się.

Poczucie krzywdy i straty przygniotło
serca, zamurowało usta.

Z lasu zaś wyszedł jeszcze jeden czło-
wiek. Nie był sam. Każdej jego ręki
uczepiło się dziecko: chłopczyk może
dziesięcioletni i sześćoletnia dziewczyn-
ka. Zapłakane ich twarzyczki umorusane
były w glinie i błocie, postacie drobne
kuliły się na każdy huk armat, świecące
łzami oczy ustawno skierowane były w
twarz ojca.

— Tato? — zapytał chłopczyk — tato?

— Co, co, sieroto?

— Patrz, tato. Oni poszli!

— A poszli, poszli. Dogonim.

I szli wielkimi krokami.

Tak to Macieja Bruzdę wyгнаło z cha-
łupy nieszczęście; zbliżało się ono już
z dawna od zachodu, wieściło się prze-
chodem ustawicznym wielkich oddziałów
wojskowych, — potem krwawą łuną na
niebie, potem miarowym hukami, co
włókił się echami i dniami i nocą, — prze-
jazdem wreszcie wozów z ludźmi, któ-
rych już wygnano — wygnano na niedo-
łę od ziemi-karmicielki.

Maciej nadchodzące nieszczęście czuł,
lecz go nie rozumiał; prostą jego duszę
obejmował żar gwałtownego gniewu, ile-
kroć pomyślał, że on, wdowiec od lat
kilku, ojciec dwojga dzieci, gospodarz
biedny, ale przecie na własnym kawałku
ziemi, ma rzucić wszystko i iść, iść „w
tyli świat, że go i ksiądz nigdy nie wi-
dzieli, nie znali“. I może dlatego nie-
szczęście przyszło nań nagle, jak piorun
z nieba, i zastało go przerażonego, bez
przytomności umysłu.

Ostatniej nocy — nad ranem — obu
dził go ogłuszający huk, łomot i krzyki
niesamowite. W otwarte lękiem oczy
uderzył blask czerwony łuny bardzo
bliskiej, a kiedy zerwał się z łoża i sko-
czył do okna, wnet zmartwiało w przera-
żeniu.

Połowa wsi stała w ogniu.

Oświetloną posepnie ulicą pędzili
zbrojni ludzie, krzyżąc i machając rę-
kami...

To przyszło nieszczęście.

Maciej pojął, że teraz trzeba już iść
i iść w ten „tyli świat nieznan“, i serce
jego w kleszcze okrutne rozpacz ujęła
i lęk. Narzucał na siebie ubranie z po-
spiechem, szczekoczącymi zębami naciskał
i gryzł wargi, mówił coś błędnie do
dzieci, które bezradnie płakały i rąk się
jego chwytaly.

Lecz w chwilę potem — o Boże! to
już było coś strasznego! to już nie było
nieszczęście, to był piorun kary, który
Bóg rzucił za jakieś niewiadome grze-
chy, — — — rozległ się ohydny trzask,
zapalił się oślepiający płomień — — —
w minutę potem cała osada Maciejowa
stała w ogniu, w który, co chwila, grzmiąc,
wpadały wrogie pociski. Więc wziął
dzieci za ręce i poszedł, a za nim szedł
pożar, mord i bój ohydny.

Szli cały dzień z małymi odpoczyn-
kami. Dzieci były już śmiertelnie znu-
żone, lecz dusza Macieja nie obudziła
się jeszcze z martwoty. Teraz — gdy
doszli do małego gajku, miotanego sil-
nym wichrem na wsze strony, Maciej
spojrzał w groźne niebo i zatrzymał się
stropiony.

Burza już się zaczynała; grube krople
deszczu padały ciężko na spyloną zie-
mię, i wark grzmotów mieszał się z hu-
kiem działa. Mały laszek był Maćkowi
z dawna znajomy; uszedł więc jeszcze
ze sto kroków i znaleźli się nad brze-
giem strumyka. Tu stał niewielki sza-
łas, mieszkanie niegdyś pastuchów, i dzie-
ci, ujrawszy go, widocznie się ucieszyły.

...Burza trwała długo. Kiedy ucichła,
Maciej wyszedł przed szałas i natężył
ucho: spokój był wkoło ogromny; u stóp
jego szemrało cicho strumyk, zresztą krzy-
ków żadnych, żadnego odgłosu.

— Musi odpędzili — pomyślał Bruzda — nima col Bedziem tu nocowali!

— — — — —

A w nocy miał Bruzda sen:

— Przyszła doń nieboszczka żona, przyszła blada i cicha, jeno jej oczy paliły się by żar, a z ust spieczonych szedł groźny głos:

— I cóżes ty, nieszczęśniku, uczynił, co? A gdzież krowiny, com je z tobą w Lublinie kupiła? A gdzież dom, coś go z moim ojcem budował? A coś ty zrobił z dziećmi mojemu?

Czyż to się godzi gospodarskiemu synowi, gospodarzowi z dziada, pradziada, na gołej ziemi spać, suchy chleb żreć i, bez obrazu Przenajświętszej się pomodliwszy, spać?

O, głowo, moja głowo!

Pszenica na zagonie ojcowskim obsiana, wyrosła-ci pięknie, na schwał, w tem rannem słoneczku złocisto-rumiana, jakby się z niej uśmiech ranku lał? I owoc w ogrodzie ku ziemi już cięży, z kwiatów osypał się puch... Pan Jezus nam zdarzył lato tak przejasne, a w tobie leni się duch? Dyc, czuj, gospodarzu, za pług trza brać ony, co ci go w rękę pan ojciec dał! Dyc zboże trza zebrać i zorać zagony, by kiep się lada z ciebie nie śmiał!

O głowo, moja głowo!

Z chałupy ostał się popiół, zboża wicher chłosta, ziemię żelazo wraz ryjel. A dyc w chałupie i obraz Matki Boskiej Częstochowskiej spłonał i krzyżek z Przenajświętszym Jezusem zgorzał...

Jęknął Bruzda i szepać jął:

— A dyc ja nie chciałem... nie ja... nie ja... a có-że?

Potem zmieniło się widziadło.

Ujrzał Maciej daleką, daleką drogę. Wozy nią jadą nieprzeliczone i tysiące ludu idą. A on się rzuca jak ryba w tym tłumie, bo mu Hanka, dziewczątka jedynne, gdzieś zaginęła; woła ją z całej piersi, krzyczy, miota się — napróżno. Aż tu przychodzi doń człek wielki, z twarzą zarosłą, z dzikimi oczyma.—Oddam ci Hanke, powiada, a ty mi daj obraz Matki Boskiej.—Który? Tenci mój spalił się przecie. — A ten, co go na piersiach

nosisz. — Ten? Nie dam. A cóż ty? OP matki gom dostał. — Dawaj! — Niel

Zczepili się. Olbrzym chwycił Macieja za gardło i zdusił z wściekłą siłą. Straszny ból zaświdrował mu w sercu, błękitne ognie zamigotały w oczach, i już począł rozumieć, że umiera...

Zbudził się cały w pocie i zadrzał nowem przerażeniem. Małym laskiem trzął huk straszliwy, przeszywały powietrze ostre, groźne krzyki, i drażnił nos dym dziwnie gryzący.

— Hanka! — krzyknął Maciek, zrywając się na równe nogi, — Jędrzek! wstawaj!

— — — — —

Szli potem wraz z masą wojsk ustępujących.

Karmili się byle czem, zdziczeli i nic do siebie nie mówili. Z niebieskich oczą Hanki płynęły łzy drobne, łzy-perelki jasne, łzy żadną ceną nieprzeplacone, łzy dziecka niewinnego. Patrzył na nie brat o lat kilka starszy i trzął się trwogą, bólem i gniewem, patrzył zakamieniały w boleści ojciec, patrzył i myśli proste mu się mąciły, drgały wargi i wyło, zda się, obolałe serce. Niósł ją całymi godzinami na rękach, łzy te ustami spijał, lecz mówić już nie mógł nic.

Aż nadszedł ten straszny dzień.

W ruinach jakiejś wsi odpoczywali, gdy na wieś padać jęły pociski, i rozległ się wkoło krzyk okropny, lament i jęk.

Niedopalone chaty zapalały się odnowa, z czarnych, martwych przed chwilą popielisk tryskać znów jęły fontanny złoto-żółtawych iskier i wzbijać się ku czystemu, sierpniowemu niebu kity dymu gęstego, czarnego.

Zerwał się poza wsią jakiś mocny, huraganowy krzyk: ural—zerwał się raz, drugi i trzeci — zagdakał później monotonny stuk kulomiotów — i wszystkie te odgłosy zginęły wnet w nieprzystannym huku, w wyciu pocisków, w jedynym a straszliwym świszczeniu miotających płomienie kul i w trzasku zapadających się już docna domów, wiejskiego kościoła i pięknego dworu.

Maciej i dzieci jego dużo już przeszli, dużo widzieli, lecz tak okropną bitwę

słyszec pierwszy raz im się zdarzyło; w kącie gęstego, starego ogrodu ukryci, leżeli na ziemi bez ruchu, przyczajeni, a prawie już skamieniali w trwodze swojej, do widm raczej podobni, niż ludzi.

— Tato, tato — głowa mnie boli... — poskarżyła się w pewnej chwili Hania, podniosła się i oparła twarz o pień grubego drzewa. Na wychudłe jej, zczerniałe policzki nie płynęły już łzy srebrne, łzy niewinne; może wyszło ich źródło tajne, może w młodziutkiej duszy zapalił się takiej żar tęsknoty, takiego bólu płomienia, iż gasła wszelka skarga, gasło poczucie najokropniejszej krzywdy, i jeno w drob- nem serduszku rodziły się nowe pojęcia, nowe sądy — zgoła niedzięczinne.

Kiedy zacichła nieco wściekła kano- nada, Hania, gryząc suchy kawałek chle- ba, szepnęła cichutko:

— Już tak dawno do Bozi się nie modliłam...

Drgnął Maciej; coś się w sercu jego przełamało i jakby runęło; zwidzisko nę- dzy, która go dosięgła, stanęło przed nim straszne, widome, ohydne; twar- da, chłopska dusza w proch i pył padła przed nim, jakgdyby to sam Bóg był mocar- ny. Podniósł się ciężko z ziemi, ukląkł i głowę ku piersi zniżył.

— Bedziem się modlić, tato? — Ję- drzek pytał.

— Bedziem się modlić, synku, be- dziem... Klęknij, Hanuś, klęknij...

Przyklękła Hania, i wszyscy troje, zwró- ceni twarzą ku łunie zachodu, zaczęli szeptać drżącym, łamiącym się głosem:

— Ojczy nasz, któryś jest...

A działa wyły.

Wzbijały się ku czystym błękitom kłę- by dymów, zasnuwały je zwojami złymi, rzekłbyś, kryły niebo przed oczyma dzieci.

...Więc się bił Maciej w piersi, bił zawzięcie i pomazursku i już nie szep- tał, lecz wołał, łkał i krzyczał prawie:

— Od wojny, pożogi, nagłej śmierci...

— Tato — pytała potem Hania — a nasz obrazek Matki Boskiej zgorzał?

— Zgorzał, dziecično. Na, jedz, już nieduzo tego ta chleba ostało...

— Schowam na później — szepnęła — a Pan Jezus-Bozia też?

— Też, Haniu.

— A gdzie my pójdziem?

— Daleko... daleko...

— Do Rosji — rzekł Jędrzek.

Hania przytuliła twarzyczkę do pnia znowu i patrzyła na brata wielkimi, głó- dem i gorączką rozszerzonymi, niebie- skiemi oczętami swemi; kąciki jej ust po- siniałych drżały, ząbki się zza warg wy- chyliły białe — — — blask zachodu grał i lśnił w jej włosach jasnych...

Jęknął ojciec: — Hanuś moja...

— Co, tato?

— Jeść chcesz, dziecično?...

— Nie...

— A co?

— Pić... bardzo...

— Poczekaj, duszyczko... Może i co najdę... Chodź-ta, Jędrus, weź blaszankę...

Odeszli.

Hania na ojcowej kapocie przyległa i cierpliwie czekała. Oczy do snu się kleiły, trząsł ją chłód dziwny, więc się otuliła, jak mogła i umiała, i ze zdzi- wieniem patrzyła, jak cochwila z trza- skiem leciały z drzew grube gałęzie, jak w niedalekich krzewach zapalał się cią- gle błysk dziwny i buchał potem dym.

To kule na park jęły padać.

Hania cierpliwie czekała.

Lecz upłynęła godzina jedna, potem druga, ściemniło się wreszcie zupełnie, a ojca z Jędrkiem nie było.

Dziecko usnęło...

...We śnie dziwna światłość je oto- czyła, a z tej światłości wyszła dobra Pani, z cudnem, bielutkiem licem, w błę- kitnym płaszczu usianym złotymi gwia- zdami.

Wzięła Hanię za rękę, w czoło ją go- rącemi pocałowała usta i szepnęła:

— Chodź, Hanuś, pić ci dam.

— A kto ty jesteś?

— Matusz twoja.

— A skąd ten płaszcz masz?

— Od Boga.

— Ty byłaś u Bozi?

— Byłam.

— A ja się modliłam do Bozi, by mi się mleka dał napić i tacie i Jędrusiowi.

— Ja ci dam mleka.

— I tacie dasz?

— Dam.

— I Jędrusiowi?

— Dam.
— To chodźmy ich szukać, bo oni poszli.

— Chodź.

Wzięła dobra Pani Hanusię na ręce, w śliczny płaszcz ją otuliła i szła w światłości dziwnej, szła jakby nad ziemią — lekko, sennie, cicho.

I w jakiejś wielkiej znaleźli się świetlicy, gdzie stół i wszystko było złote, i dobra Pani dała Hanusi szczerozłoty dzban, pełny mleka.

— Pij, dzieciно.

— A gdzie tato?

— Pij ty pierwsza.

— Nie; tato pierwszy, potem ja, potem Jędrak.

— Czekaj, przyprowadzę ci tatusia.

I dobra Pani znikła. Długo czekała Hania. Nieotulona w błękitny, śliczny płaszcz drzeć poczęła z zimna. Zimno to rozlewało się po całym jej malutkim ciałku — i dziecko się przebudziło.

Zobaczyły niewinne oczęta dalekie, dalekie gwiazdy złote, niebieskiego płat nieba, i zdało się dziecięcemu sercu, że to właśnie płaszcz cudnej dobrej Pani, która w niebo odeszła.

— Tato... zimno mi... — zimno...

Cisza.

— Tato... zimno... Tatom...

Srebrny głosik jej zadźwięczał i spłynął echem po srebrnych kroplach rosy.

Dzwonnie spłynął i echem zginął w przelewających się wśród drzew mrokach błękitnej nocy.

Przypomniało się nagle Hani, że tatusia i Jędrka niema, i, zerwawszy się z ziemi, biegła naoslep przed siebie, wołając, wzywając rozpacznie:

— Tato... tato... tatom...

W pewnej chwili uderzyła główką o gałąź twardą... zamigotało jej coś w oczętach splakanych... i cicho upadła.

A ponad nią rozwieszało się spokojnie cudne niebo, jak śliczny, błękitny płaszcz dobrej Pani, złotemi nabity gwiazdami.

Na drugi dzień rankiem ogród pełny był ludzi. Biegali żołnierze jacyś, zmęczeni i bladzi, poważnie przechadzali się błyszczący oficerowie.

Hania obudziła się na rękach jednego z nich. Nacierał jej główkę jakimś płynem, a kiedy otworzyła oczy, zapytał łaskawie:

— No, co? mała? a jak się nazywasz?

Hania patrzyła mu w twarz długo, bardzo długo. Opuściła potem główkę, zamknęła oczy i szepnęła cicho, obłąkannie:

— To... nie... tatuś...

Wiktor Przecławski

ORLE GNIAZDO

Na Karadagu orle gniazdo,
a w niem królewski mieszka ptak.
Stąd codzień swą zawrotną jazdą
szybuje w napowietrzny szlak.
I dumnie wznosi się i pędzi,
nie straszy go ni wicher, ni grom,
bo wie, że w dzikich skał krawędzi
odnajdzie zawsze własny dom.

A my — wygnańcy i tułacze —
wyparci z swych ojczystych chat,
tłumimy skargi i rozpaczę —
a depcąc obcej ziemi szmat,
do Boga wnosim wciąż błaganie:
— Stracone gniazda wróć nam, Pani!

Krym

P. Hejdukowska

DZWONY

Z wyniosłych wieżyc, skąd przez długie wieki
Śpiewały hymny Bogu i Ojczyźnie,
Stracone w ciemnię, gdzie rzadko się wśliźnie
Promyczek światła słaby i daleki,
W kurzu i pyle, spowite w zasłony
Szarych pajęczyn,— leżą Króle-Dzwony.

Dzwony! Harde, lotne Dzwony
Z ukochanych moich pól
Cóż się stało, że stracony
Wasz majestat w proch i ból?

Cóż się stało, żeście zdjęte
Z waszych wyżyn, z waszych wież,
Skąd głosiliście w dniu święte
Tłumom rozmodlonych rzesz,

Że Bóg jeden jest na niebie,
Tylko On zwycięża mrok,
I że niedość trosk o chlebie:
Trzeba w niebo wznosić wzrok.

Wyście tyle lat spędziły
Pośród gwiazd i pośród chmur,
Przelewając niebios siły
W swoich serc spiżowych chór.

Wyście młode pacholeta
Nauczyły kochać trud
I tę ziemię, z której wszczęta
Każda moc i każdy cud.

Wyście zrosły się z tą ziemią,
Pokochały krzyżów las
I lud szary, w którym drzemią
Siły sił i krasy kras.

Cisza—wielka, jak w świątynicy.
Cisza—Stoją dzwonów tłumy,
W poniewierce swej królewskie,
W poniżeniu pełne dumy,
Popękane, pół—spalone
Stoją dzwony—męczennicy.

Cisza—Piętrzą się z tęsknotą
W świat promienny, nieskończony —
Na równinę naszą złotą
Króle—Dzwony, Ojce—Dzwony...

Marja Dłuska

ŻYCIE NOWE

Ojczyznol

Przychodzisz, jak Anioł tryumfów z da-
rami życia nowego. Z sił niepoznanych uro-
słaś—i otoś jest znowu Władna w Mocar-
stwie Ducha — Pani w skarbnicy trwania
wiecznego—

Dni twoje to był znój ostry! Two ręce
wciąż się splatały nad głową ciężką od
marzeń.

Milczałaś, kiedy się rwały! Milczałaś,
gdy grzebać je przyszło, Ty, Antygono kró-
lewska, bez łez płacząca śmierć brata!

Dziś mówić o Tobie potrzeba. Twój ży-
wot to lzy kamienne, co sypią ziemię
z granitu. Patrz: oto Królestwo Twoje!

Bajko z tęcz tkana, w snach dziecka
pielgrzymiej rzeszy pieśni pokutnicza! Opo-
ko twarda dłoni spracowanej — Tułaczy —
arko zbawienia!

Krzyża nie wyrwałaś z Swych gruntów,
aleś się na nim oparła i stoisz swych dróg
pewniejsza i w Swojej myśli zlocistsza—
i słuchasz głosu, co woła na sądy — na
sądy Boga.

Ty masz sumienie, Ojczyzno, i ono żyć
Tobie każe.

Bo tylu zimnych odeszło i tylu dobrych
skonalo!

A w borach huczy moc—Własta! Głos,
co jak taran uderza, jest znakiem, że zmar-
twychwstajesz, że się Twój sztandar prostuje!

O, wskrzeszające ty życie, co samo da-
jesz nakazy i twardsze jesteś, niż granit!

Rozpatrujemy Twe rany, czekając zwy-
cięskiej nocy.

Wypreżasz się—wstajesz!

Ojczyznol

Kapłanko świętego słowa —

Narodu żywych obiecana Ziemiol

Janina Przeclawska

ŚPIEW

Pieśniarz

Chciałem pieśni wam śpiewać promienne —
Jak ojczystych pól oddech—krzepiące,
Że już lecą k'nam wonie wiosenne,
Że już jasne nam wschodzi — hen — słońce!

Chciałem pieśni wam śpiewać szczęśliwe.
Że w strop niebios uderzył wasz głos
I na krwawą, na polską wam niwę
Spadły tęcze przedświtów — łyż rosi!

Ale dźwięki nadziei skonały,
Łzami trysły harfiane me struny,
Jąkiem jeno przeciągle zadrgały —
Echem młotów bijących gdzieś w truny...

Czy w nich ludu zaniosta się skarga?
Czy się rozległ pożarnych krzyk łun?
Zali harfy strunami wicher targa?
Płyną jęki, wciąż płyną ze strun...

Chór

Gdzie pieśń Twoja słoneczna, podniebna?
Biada Tobie, pieśniarzu zły, biada!
Pękła struna u harfy Twojej srebrna!
Mdleje ręka i martwa opada...

Pieśniarz

W mrokach nocy oślepy wzrok tonie...
Panie! Światów Twych zagasł mi cud!
Ślepe oczy i skrzepłe me dłonie,
Pieśni życia gdy łaknie Twój lud!

Boże srogi, Ty Boże pieśniarzu!
W prochu do Twych upadam dziś stóp!
Widzisz tłum ten bolesnych nędzarzy —
Pieśń ma wieczny przysięgła mu ślub!

W obcej ziemi niech skonam przeklęty,
Ale harfie choć jeden daj ton,
Coby sercom jak ogień był święty,
Coby nocom jak świtów był dzwon!

Chór

Zali cud-to? noc zbladła, czy dzieje?
Obłąkane ucichły strun zgrzyty.
Blask Przemieniań nad Tobą jaśnieje,
Schodząż ku nam błękitne już świty?

Dźwięczy pieśń Twa, rapsodzie, skrzydlata,
Ogień dłonie i struny rozżarza,
Czy Duch Boży nad harfą przelata?
Lud chorałem Twe słowa powtarza!

Śpiew niech płynie jak strumień wzburzony:
Na nic jęk, na nic skrzydła gołębie,
Sępie oczy i sępie nam szpony —
Losów mściwe i ciemne śnić głębie...

Gdy nad zbrodni i gwałtu odmęty
Szatan dziejów rozpętał lot krwawy,
Milszy Panu stokrotnie gniew święty,
Niż błagalnej modlitwy ton łzawy!

Chór i Pieśniarz

Z dni tułacznej niedoli,
Z dziejów hańby-niewoli,
Z pól, gdzie bratnia płomieni się krew,
Ponad dymy pożarne,
Ponad krzyże cmentarne,
Wolnych duchów niech wzbije się śpiew!

Pieśnią — duma nam harda,
Jasna śmierci pogarda!
Żarem Woli płonący hymn dusz!
W żywych ogniach, — o, Panie! —
Niechaj Sądu dzień wstanie!
Szatan padnie na własny swój nóż!

Marta Morełowska



W NURTACH ELSTERY

(Urywek z tragiedji „Xiążę Józef Poniatowski“)

Muzyka gra Polonez Ogińskiego, potem marsz żałobny Beethowena.

(W mroku przebija czerwieniejący brzask. Widać zoddali wieże kościelne płonącego Lipska i Grimmaisches Tor. Bliżej wzburzone fale rzeki, z lewej strony pałacyk japoński, o który toczy się bój. Wozy rozbite, płonące drzewa. Most z przeprawiającymi się spieszenie wojskami Napoleona. Zachmurzony mglisty jesienny ranek. Leżą nagie trupy, wzdęte konie z wywróconemi w górę nogami. Jeden koń obłąkany, wychudły, z głową obwisłą, stoi nieruchomo nad rozwalonym bębniem. Jaszczyki, zdruzgotana armata, przelatują rozżarzone bomby, huk głuchy, ciągły jak w młynie. Jęki, wrzaski, rozkazy. Namiot rwany wichrem i tłący się ogień, w którym płoną kolby od karabinów, koła armatnie i trumny wywleczone z cmentarza. Dzieje się w czasie Bitwy Narodów pod Lipskiem 18 października.)

Wita — kobieta piękna, choć ze znakami przerażających męczarni, czuwa przy konającym przybranym synie. Twarz greckiego efeba o potężnych brwiach i czole myśliciela. Rozrosły, silny. Chorażgiew jego przy nim, okryty nią od zimna).

I

— Matko, ja oszaleję. Nie mogę ruszyć do walki, a tam ginie sprawa Polski... Jedno oko mam już martwicą zajęte, wyglądam jak Pers konający na rzeźbie w Termach.

— Miej siłę, mój synu.

— Kula armatnia oderwała mi nogę. Wpadli kozacy, piki rozerwały mi wnętrzności. Tedy podeptał mię jeszcze butami oddziału infanterji pruskiej. Matko, myśl moja uderza z szaloną intensywnością o zagadkę życia, widzę wszystko — ale ty

musisz żyć, a żyjącym tego się nie mówi! O, Boże, Boże... która godzina?

— Słońce weszło, ale go nie widać.

— Więc to już koniec?

— Bóg wyratuje cię, najmilszy mój.

— Nie mówię o sobie — ale Napoleon przegrywa!

— Wygra jeszcze wiele nowych bitw.

— Matko, ślub uczyniłaś, że nigdy, póki Polska nie będzie wyratowana, nie wyjdiesz zamaż. Miłujesz księcia Józefa?

— Tak. Nie wyszłam i nie wyjdę, dopóki Polska nie będzie wolna.

— Jednakże ja...

— Rozumiem, o co mię pytasz. Po bitwie Maciejowickiej byłam z tymi, co tworzyli legjony. Była tam przebrana za oficera moja serdeczna przyjaciółka z Ukrainy—Kalina. Ona była ciężko ranna i musiała oddać mi maleńkie chłopiętko.

— Któż jest mym ojcem?

— Niewolno mi tego powiedzieć — ktoś w sprawie naszej Nieśmiertelny.

— Kocham jedynie, prócz ciebie, Kościuszkę, Dąbrowskiego, a najbardziej — Xięcia. O Boże, Boże, która godzina... no, to już na mnie czas... (z furją) Puśćcie mnie, no, puśćcie—jestem choraży, ja muszę wieść Krakusów — no, precz do szatana!

— Miłości moja — nie zrywaj bandażów.

— Która godzina?

— Dopiero pięć minut minęło, gdyś o to zapytał. Jest siódma bez kwadransa.

— Wieczór?

— Nie — brzask.

— Myślałem, że już noc. Więc ja muszę was pożegnać... Ale to okropne, że już nie podźwignę nigdy sztandaru. Mam, nie czuję przy sobie żadnego ducha—

nie mówiąc już o Bogu. Duchy nie schodzą na ziemię — albo ich wcale niema. Mój koń zginał, ale szczęśliwiej, niż ja. O Boże — jak ja cierpię. Ale ty się tem nie smuć... Mówi przezemnie gorączka. Właściwie, nic nie czuję — tylko dość przyjemny mroźny chłód (Dygoce w febrze i szczeka zębami. Wita podaje mu stare wino).

— Stary tokaj — ma więcej lat, niż ty — zachowałam go ze zjazdu w Kanio-wie (Młodzian pije).

— Doskonały. Czuję się lepiej...

— Widzisz — to jest przełom! (do siebie, lecz półgłosem) Boże, błagałam Cię zawsze tylko o sprawy bezosobiste — o wolność ojczyzny. Jeśli cokolwiek uczyniłam w sferze duchowej i jeśli można mówić o zobowiązaniach Boga względem istoty ludzkiej — to Ty je masz względem mnie! Teraz więc będę błagała, teraz nogi Twe na krzyżu obejmuję...

— Matko, jeśli kto ma co uczynić dla uratowania armji Polskiej i Napoleona — niech się śpieszy!

Lamie się dziś ostatnia nadzieja Polski: Wielki człowiek tej epoki! czy będziem mieć jeszcze kiedy drugiego Napoleona?

— Ty miałbyś tensam gienjusz, lecz jeszcze ze światłem wzmożonem intuicji i szlachetności. (cicho) Ty mi go nie odejmij, Chryste! Ty nie odejmiesz go narodowi! Płakałeś i uzdrowiłeś syna wdowy, a sam dożyłeś wieku swej potęgi.

(Na kondygnacji najwyższej, nabierającej modrego tonu, jawi się Kapelan wojskowy)

KAPELAN. Tak, czcigodna pani Wito — bądź zupełnie pewna, modlitwa twa jest wysłuchana. Wprawdzie serce miałem zmroczone, patrząc na tego młodzieńca, ale w głębokiej modlitwie przeczucie mówi mi, że będzie wszystko jak najlepiej. Otwórz na wróżbę Ewangelję.

WITA (otwiera i czyta) — Którą ujrzawszy, Jezus przyzwał do siebie i rzekł jej: „Niewiasto, wolnąś uczyniona jest od niemocy twojej“. I włożył na nią ręce: a natychmiast podniosła się i chwaliła Boga. — Dzięki Ci, Panie — podwo-

ję miłość mą dla Ciebie i ducha swego rozjarzę, jako lampę w jutrzni na rotaty.

MŁODZIAN. Ja umieram, matuchno...

WITA (prawie z gniewem — w natchnieniu) Nie umrzesz — zakazuję ci tak myśleć!...

(Wbiegają polscy żołnierze i oficer).

OFICER. Gińmy — ale przynajmniej z honorem. Bracia, jeden za drugim w tyraljerkę, strzelać do prusaków, ukrytych w tym pałacu japońskim. (Żołnierze biegną w stronę pałacu, lecz pod gradem kul kryją się za drzewa. Wita magnetyzuje modlitwą konającego).

WITA. Mów razem imię Boga Najwyższego, wszakże wyczuwasz Go teraz?

MŁODZIAN. Niema — nic — —

WITA. Wzywaj duchów, które płyną tam — —

MŁODZIAN (gwałtownie odpycha jej rękę) Która godzina? no, która godzina — ja ciągle o to pytam!

WITA. Siódma rano.

MŁODZIAN. To już koniec!... już po wszystkim!... Niema Xięcia... Ale on pędzi, czuję tętent jego konia... Matko przybrana, mów mi —

WITA. Tak, to twój ojciec!

MŁODZIAN. Raduję się... A ty jesteś moją matką w Ojczyźnie... I tak blisko przygarnęłaś mię do siebie... (Słychać tętent) Powiedz, bo ja cię tak miłuję — —

WITA. Jestem twoją matką, bo noszę cię wciąż w otchłani mego serca i będę nosiła aż za grób...

(Wpada jeździec—Xiążę Poniatowski. Zeskakuje z konia, łeb koński widać w bogatej trzęzli. Xiążę śpieszy do rannego).

XIĄŻĘ. Jak się miewasz, mój ukochany chłopcze?... odjęli ci nogę. To nic, ja widzisz, też nie mam już połowy swego korpusu — będziemy mimo to jeszcze budowali Polskę — aż się stanie — Warownią niezdobytą.

ADJUTANT (wchodzi, kulejąc — wsparty na szabli) Mości Xiąże — mniejszy mów — krew buchnęła ci ustami, gdyś zwałił się z konia — (Xiążę skinieniem ręki oddała go).

XIAŻE (cicho) Wito, jak się miewa nasz ukochany?

WITA. Osądź!

(Xiaże wpatruje się i blednie)

WITA. Zdaje mi się, że to przełom — te rumieńce gwałtowne...

XIAŻE. Spróbuję tych przeklętych prusaków wygnać z pałacyku, można będzie ułożyć go w zaciszu i wezwać lekarza. Hej, zuchy, ponaszemu — dajcie mi karabin, jak pod Raszynem! (Zbiera się przy nim kilku żołnierzy — nagle Xiaże, rażony kulą, stania się).

ADJUTANT. Ratuj się, Xiaże — przepłynij rzekę na koniu wplaw — tylko nie tu, brzeg stromy...

KSIAŻE. Mój synu... co to znaczy, Wito? puls jego znika... on gaśnie!

MŁODZIAN (głosem przejmującym, dzikim) Ja będę mocny!!

CHIRURG (wbiega i w mgnieniu oka widząc, co się dzieje, rzuca się z lancetem do chorego, nadcina mu rękę — chwytając żyłę) — Felczer, zastrzyknij wody z solą i kamforą! (do siebie) Już napróżno, już po wszystkim. Tylko dla Xięcia puszcza się na te straszne eksperymenty naukowe...

XIAŻE. Chryste... jako modliłem się niegdyś w kościołach wiejskich — i na stepie, a potem zawsze każdego wieczora zdejmowałem hełm w obozie, gdy modlili się żołnierze — daj mi cud. Uratuj dla Polski mojego syna — przysięgam, że resztę mych dni poświęcę sprawom duchowym i stanę się Twym apostołem. Czy nikt nie słyszy? Wszakże musi być choć jeden Duch w tym potwornym Kosmosie?! (do lekarza) Bracie, pomóż mi. Twarz martwa, ręka w mej dłoni ścisnęła moją — na wieki. (Umierającemu buchnęła z ust czarna ropa. Teraz już nawet Wita zrozumiała!)

CHIRURG (rzuca okrwawiony lancet, rozwiódł rękoma) Stało się. Nic poradzić niemożna. Teraz śpieszę do baraku — już obciąłem siedemset rąk i nóg — czekają tysiące! (wybiega)

WITA (głosem nabrzmiałym niestetychaną rozpaczą i zdumieniem) Dzieciatko moje... nie — to sen straszliwy!...

XIAŻE (dusząc się z wściekłości i żalu) Wito — i my wszak pomrzemy, a teraz gardźmy tym losem nikczemnym. Tyłu zginęło i jeszcze zginie. Wito, siadaj na mego konia — jest wypoczęty. Przeleć potworny mrok śmierci — bądź mi wijatykiem... (mimowoli) Mam pewnością, że z tych wód nie wypłynę — na szczęście! (sposstrzega się) Ale będę walczył — aby ideę polską ratować — żołnierze moi tam walczą nad Elsterą — tu jesteśmy otoczeni wodami rozlanych rzek...

WITA. Wszak przepływałeś Łabę w zbroi i Dniepr?

XIAŻE. Mam w sobie kule trzy. — Bądź nadewszystko ostrożna, Wito, nie wychylaj się zza tych drzew — zginąć zbyt łatwo, choć żyć bywa tak trudno. Więc na konia — i w paru susach leć — na tamten brzeg.

WITA (z bezwzględna wolą) Jego tu nie opuszczę. A ty mój żyjący najmilszy — musisz jeszcze próbować ratunku dla kraju... Ja już nie mogę — nic!

XIAŻE. Utrzymywałaś w nas wszystkich ogień przez tyle lat męki tułaczki — miałaśbyś teraz ugnać się? Mój syn legł na polu chwały — —

WITA. Nie uginam się — ja czynię sąd.

XIAŻE. Wito, pomnij, że nam niewolno wpaść w oblęd — a cóż by powiedziała Polska!

WITA. Dobrze! Niech każdy czyni swoje do końca. — Wodzu!

XIAŻE (patrzając na syna) Krew mu leje się gardłem czarna... Przerazenie wsącza się aż do mych kości — że tak jest nikczemną istotą życia, a jam tego widzieć nie chcia! O, szatany! was — potworów monstualnych chciałbym teraz oglądać. Mam ochotę wyć, zarabac szablą własnego konia — z prusakami sprzymierzyć się — kasać jak Ugolino czaszkę Losu... ha, ha, ha! Psiakrew! (zagryzą do krwi rękę) Już jestem spokojny. Tak Napoleon przegrał tę bitwę — trzeba ratować nasze wojska... Wito, ukochana moja!... święta moja!... duszo moja!... razem wyprowadźmy stąd resztę wojsk. Ciało Witolda wezmę na konia.

WITA (surowo) Nie trać czasu, Mości Xiażę — to hańba — nie móżd być Wodzem do końca... Zwątpieniem zabijesz narodowi jego przyszłość.

WOJSKOWI. Giniemy! sauve, qui peut!...

XIAŻĘ (chwytnjąc dech) Trzymać się szeregu, mości panowie. Tak — (skupia gromadzących się licznie wojskowych) Nadchodzi tu Cesarz. Musimy utworzyć jego arjergardę.

OFICEROWIE. Ratujmy się, mój Xiażę. Już poddali się Francuzi—cóż nas tak bardzo wiąże z Napoleonem?

KSIAŻĘ. Nie z nim — ale ze sprawą wolnego ducha w ludzkości... Dość zwątpień... żyje honor polaków!

II

(Wchodzi Napoleon i siada wyczerpany na bębnie. Z mgły gęstej majacza drzewa, lby końskie, broń. W powietrzu latają rzadkie jeszcze, ogniste pociski).

NAPOLEON (po długiej chwili milczenia) Raportu słucham.

X. JÓZEF. Nieprzyjaciel nie zdobył jeszcze ani piędzi terenu.

Wojsko okazało zapal i wytrzymałość, godne podziwu, ale walcząc przeciw austriakom, straciłem jedną trzecią część ludzi.

NAPOLEON. Było tego około 14 tysięcy ludzi i 7000 koni.

X. J. Tak. Pułki musiałem stapiać. Lecz nie mam amunicji.

NAP. I ja nie mam — to już trzeci dzień tej morderczej bitwy, gdzie walczy pół miliona ludzi o każdy kłak ziemi. Kogo masz teraz, Marszałku Francji, przeciw sobie? (probuje rozejrzeć przez lunetę).

X. J. Teraz działają główne kolumny związkowe pruskie. Bronię wsi Probstheidy przeciw dziesięćkroć liczniejszemu zastępom. Wiodę, jak mam zwyczaj, osobiście w ogień po kolei bataljony dywizji Izydora Krasinńskiego.

NAP. Kto tam błysnął mi na wzgórzu otoczony sztabem?

X. J. To cesarz Aleksander przygląda się naszym wysiłkom.

NAP. Będzie umiał czić sprawę, której bronią legjony polskie.

X. J. Imperatorze, pomnij! iż nie Probstheidę zdobywamy w oczach Twoich, lecz zdobywamy Warszawę — dla przyszłej Polski.

NAP. (ponuro) Tóż cofnij się na tamto wzgórze, gdzie stoi Cesarz Rosji, dokąd już odstąpili Sasi — i gdzie nadciągnęły świeże pruskie rezerwy Blüchera i zdrajcy Bernadotte'a!

X. J. Chcesz powiedzieć, Imperatorze, iż przechylają się szale na stronę Koalicji?

NAP. Gdyby to rzekł inny, niż ty, Marszałku Francji, zastrzeliłbym go z tego karabinu.

X. J. Walka była oddawna już beznadziejna. Nawet jeszcze przed Moskwą...

NAP. Mówisz to Ty, który odrzuciłeś koronę polską dawaną Ci przez Aleksandra — a trzymałeś w najgłębszej tajemnicy, by nie zawstydząć go odmową?! (jakby do siebie) Byłeś prawdziwym Królem, łączyłeś wszystkie potemu tytuły i wszystkie talenty: a jednak Tyś jeden milczał, kiedy wszyscy wyszarpywali sobie korony.

X. J. Kiedym jechał tu, Naj. Panie, do Ciebie—jechałem sam, bez towarzyszków dawnych, bez narodu. Widzisz te pistolety? pewnej nocy w Krzeszowicach miałem je dwa razy w rękę, chciałem się zastrzelić, aby wyjść z zamkniętej bez wyjścia doliny. Wypadło mi zerwać ze wszystkimi najlepszej woli przewodnikami narodu, z ogromną większością społeczeństwa — i z Moźnowładcą, który miał wielką dobrą wolę uczynienia czegoś dla Polski naprawdę.

NAP. Któż to?

X. J. Ten na wzgórzach tam!

NAP. Mój wróg Aleksander — hm!... Więc to był sentymentalizm, żeś wybrał mą sprawę, niedającą żadnej korzyści?

X. J. Słuchałem głosu prostego mej duszy. I ta kazała mi Ciebie. Zdobywco, bronić do końca. żeś budził w nas dawny

hart. I będziemy ci wierzyć, mimo wszystko.

NAP. (wołając) Konia! Mimo wszystko, mówisz, dyktatorze polski?

X. J. Mimo wszystko — tylko generał polski, wódz naczelny korpusu VIII.

NAP. (któremu mameluk Rustem podprowadza konia, dając znak, aby poczekał dalej). Tak, zrobiłem straszny błąd, nie wierząc wam, Polakom, którzy, przestając wierzyć w Boga, uwierzyliście we mnie.

X. J. Mylisz się, Najjaśniejszy Panie.

NAP. I w tym nawet myślę się?

X. J. My już dawno wierzymy tylko w nasz własny los.

NAP. Wobec tego, nie masz do mnie żalu, jakkolwiek ta bitwa obróci się, przyszedł Król Polski?

X. J. Nie mam żalu, choć wiem, iż Królem Polskim nie będę.

NAP. Ujrzałeś już przed sobą Szare Widmo bez nosa — La vieille Camarde?

X. J. Widzę je w światłach!... (ukazuje Napoleonowi Widma, które wychodzą zwolna zza drzew — lecz Napoleon ich nie dostrzega, tylko uczuwa nagły dreszcz).

NAP. Prowadź zatem wojska przez tę groblę. Znasz ją?

X. J. Ma pół mili. Jest osiem mostów. Błotniste koryto Plejsy, Elstery i ich odnóg. Wody wezbrane jesienną powodzią wystąpiły z brzegów, toczą się brudnym, spienionym i rwistym nurtem.

NAP. Zwarta masa mojej cofającej się armii ciśnie się tą groblą, niiby przez drugą Berezynę. Czuwałeś noc całą na straży tylnej — ty i twoi Polacy. Tę noc równie zatem nie spałeś. Zimno, chmurno. Siwa, ciężka mgła wznosi się z bagnistych nadrzeczcy. Do szpiku przejmują ten mżący jesienny deszcz. Dymy — co to?

X. J. Pałają się przedmieścia lipskie.

NAP. Nie ustają tam salwy armat i karabinów. Mgła, mgła — mgła... O kilkadziesiąt kroków trudno widzieć (zamyśla się) Przeprowadzam całą armię na tamtą

stronę. Pomóż mi to zrobić. I daj rękę. Widzę, że jesteś ranny, mój przyjacielu!

X. J. Szarżując na czele pułku IV ułanów, dostałem tę ranę pika.

NAP. I czym może Cesarz Francji nagrodzić taką krew? Walczyłeś z nadzwyczajną brawurą pod Smoleńskiem, choć w przeddzień ja osypałem Cię niedość słusznymi wyrzutami! walczyłeś tam Ty i Twoje rozrzedzone — polskie szeregi przez dzień cały i część nocy. Twoi żołnierze wdarli się przez wyłom do miasta. Musiałem Cię publicznie przeprosić. Ale już wtedy smagały mnie Gorgony przeczuć...

X. J. Na klęczkach błagałem Cię, abyś mi pozwolił iść z wojskiem na Kijów.

NAP. Bylibyśmy ocaleni, gdybym posłuchał. Lecz ja zatraciłem już wtedy wiarę w siebie... Wiesz, że pod Bredechiną miałem w rękę armię Barkłaja i wypuściłem ją. Obląkany książe d'Abrantes atak mi zepsuł pod Walutyną, stanawszy upornie i nie chcąc zająć tyłu nieprzyjaciółom. Potem przez cały miesiąc ta posucha, gdy zśliśmy na Moskwę, cierpiąc, jak na Saharze. A potem Borodino... pożałowałem armii francuskiej, zaryzykowałem korpus polski, puszczając was w ciemne lasy nocą, gdzie mogła być zasadzka. Mieliście obejść ztyłu Kutuzowa. Wysłałem was, niedość licznych, jak dziecko zgubione...

(W ciągu tej rozmowy zbierają się widma poległych — na kondygnacji górnej śnieg sypie, kruki lecą wśród dzwonów Moskwy — żołnierze — widma przemarzłe, okryci kapami kościelnymi lub chustami babiami — upiorni, groteskowi).

...Wszyscy staliśmy wówczas na wyżynach obowiązku. Widzę dotąd dywizję starego Frianta, uszykowaną w czworobok, o który rozbijały się wszystkie kolumny dzielnej piechoty rosyjskiej, wszystkie szwadrony jazdy nieprzyjacielskiej (Widma zajęły). Syn Frianta padł śmiertelnie ranny, ojciec kazał go odnieść do ambulatorjum — a sam — dalej dowodził dywizją, jakby nic nie zaszło... Co ci to, mój Marszałku?

XIAŻE. Jakby... nic nie zaszło...

NAPOLEON. Trzy dni trwa już bitwa. muszę skupić swe chaotyczne myśli — z tobą jedynie mogę mówić, jakby do widma Sławy...

XIAŻE. Tak, słuchają widma...

NAPOLEON (znów jakby do siebie) Wiem, to był drugi mój błąd — nie wierzyłem waszym zaklęciom — i nie dałem pomocy do zniszczenia armji Kutuzowa. Wtedy na pobojuwisku klęli mnie moi grenadierzy najgrubszymi słowami. To był straszny akt tej tragedji, którą teraz kończymy.

Widząc pole zasłane trupami, jak nigdy, lękałem się wydać na zaturę moją młodą gwardję, będąc na tysiąc osiemset wiorst od Francji. Huk armat był taki, jakby świat się walił, a mrok od dymu, jakby czarne chmury zwały się na ziemię.

(Mrokiem zasłaniają się kondygnacje, widać jeno ognie błakające się).

XIAŻE. Tak, to była niekonsekwencja — zapuścić się tak daleko i nie chcieć zadać ostatniego ciosu.

NAPOLEON. Powiem ci całą tajemnicę: miałem katar, byłem niewyspany — nerwy miałem rozstrojone!...

XIAŻE. Ale my, w orkiestrze muzykanci, musimy wciąż nastrajać nerwy na ton, godny... rzec mogę... Thermopyłów!...

NAPOLEON. Chciałeś rzec raczej: Baltazara uczyty... Obu stronom przyświeca teraz blask Mene Tekel... Wyście zmańdzeli, ja stałem się sprawiedliwym — ale mimo to — los nam nie przebacza.

XIAŻE (wzburzony) Ha, los... psia-krew!...

NAPOLEON. Kluj — to lubię — tak! To wyzwala gieniusza... Jesteś godny nawet wielkości mej, przyznaję. Pod Carikowem wśród nocnej bitwy w lesie rozstrzygnąłeś atakiem pierś o pierś... Wreszcie zostało ci już tylko półpiąta tysiąca bagnatów, lecz schowałeś wszystkie armaty i wszystkie sztandary. Zawsze pogodny, przytomny, rozważny i nadzwyczaj czujny. Pod Woronowem przez to, żeś czuwał nocami i nie wierzył grzecznym układom Kutuzowa, uratowałeś znowu od zagłady środek Wielkiej Armji Mü-

rata. Kiedy wszystko stało się już tylko olbrzymią mizerją człowieczą, wśród lodów i głodu Berezyny dano ci parę gorących kartofli, lecz ty oddałeś innym, widząc nędzę żołnierzy. (Widma błogosławia Xięcia).

XIAŻE. Wypocząłeś już, Najjaśniejszy Panie?

NAPOLEON. Wracasz mię do rzeczywistości. Więc przegraliście polityczny byt — — tymczasem.

XIAŻE. Upadnie, co straszniejsze, duch kraju. Lecz nie — — nasza śmierć musi być tak potężną — by zapaliła całe pokolenia!

NAPOLEON. Śmierć... to się tak lekko wymawia, ale im bliżej, tem trudniej się przyzwyczaić... (Klaszcząc w dłonie i siadając na konia) Nie masz więc żalu, — ty, co masz prawo mówić za Polskę?

XIAŻE. Żal — to marne słowo... Nie mamy żalu. Zbudziłeś naszą wiarę w siebie samych. Teraz ja czynię tylko to, co mi przeznaczenie wewnętrzne nakazuje. (Rozlega się straszny, głuchy jęk)

NAPOLEON. Co to?

XIAŻE. To na polu bitwy jęk kilkudziesięciu tysięcy umierających lub ciężko rannych. Rżenie 20 tysięcy koni z potrzaskanemi od armat nogami, z wydobywającemi się z ich ciał wnętrzościami.

NAPOLEON. Tam — jakby widma... nie są mi straszni żołnierze, ale ich matki... (płacząc) I ja jestem tylko człowiekiem... Musiałem — narzędzie Tajemniczej Potęgi — wieść na zatracenie to najlepsze, co miał świat... I jeszcze wiodę... ku słońcu jakiemuś, które nad ludzkością zaświeci... wierzysz?!

XIAŻE (milczy)

GŁOS WITY. Wierzymy Tobie, Chryste, że Ty jeden na świecie nigdy nie kłamałeś...

NAPOLEON. Dziwny głos... to mówiło sumienie...

GŁOS KUCHARZA (zza drzew) Sacre de nom... czy w tem ohydny piekle mar niema jednej tłustej kury, którąbym przypawił dla Cesarza — by ją na śniadanie spożył w spokoju, pokrapiając Burgundem?!

NAPOLEON (śmiejąc się) Du sublime au ridicule... oto mamy Szekspirowskie cięcie, zazdrościmy chłopom, którzy tam spokój mają w chałupach. Będąc miernym człowiekiem, czułbym się teraz szczęśliwym. Nie pozostaje mi już chyba nic, jak upokorzyć się przed nieprzyjacielem!

XIAŻE. Chwieją się twe zamiary, bo nigdy ich nie zbudowałeś na sprawie wyższej, niż własna. Chciałeś już w Iłowie, a potem w Moskwie upokorzyć się przed cesarzem Aleksandrem — — — Nie należało, być może, szturmować podniebnych skał Pirenejów, Alp i dążyć za Aleksandrem Macedońskim ku absolutnej zagadce świata — Indjom — — Ale skoro poszliśmy na ten szturm — i nie rozbijemy wrogów — trzeba umrzeć mężnie!

NAPOLEON. Umrzeć?... nie wierzę, abym mógł umrzeć. Niedarmo nazywali mnie Aniołem Czarnym na Wschodzie. Mam w sobie i nad sobą olbrzymie skrzydła boga Ra...

(Kruki kraczą)

Kra... kra... O, drwię z tych przeczuć... Ja wydobędę was wszystkich — Eritis sicut dei —

XIAŻE. Wróćmy do rzeczywistości.

NAPOLEON. Tak — więc ochraniaj nasze wojska. Twe krakusy konne są najdzielniejszą częścią mej armji. Tam z tej mgły, z tych ogni baterji wysuwają się na ciebie prusacy. Ochraniaj mnie.

XIAŻE. — Polskę?!

NAPOLEON (z furją) Większy Napoleon, niż cała wasza Polska... A jednak — ja was kocham — moi wy z mężnych najmężniejsi! Jeszcze nie zginęła, póki My — żyjemy (odjeżdża).

III

XIAŻE. Zabrał mi ostatnie chwile, które mogłem spędzić przy mej ukochanej, tak cierpiącej... Lecz teraz muszę wieść wojsko...

(Nagła straszliwa kanonada. Kawały ziemi zrywają się w powietrze. Widma przechodzą, salutując przed Xięciem. On bada mapę, potem ją drze i rzuca na ziemię).

Teraz prowadzić należy tylko instynktem.

(Wbiega major Axamitowski).

MAJOR AX. Wodzu, kazałeś mi spisać na wypadek nagłego zgonu swój testament: ubogim m. Warszawy, wstydzającym się żebrać, 1000 dukatów... aby wojsko piło na twoją intencję z twej gaży... pułkowi VIII piechoty gratyfikacje, kompanii pontonjerów, saperów... na kościół...

(Wpadają żołnierze i oficerowie maruderzy bez broni).

BANDA. Sauve qui peut... naprzód... tutto perduto... caramba, el demonio Napoleone... (oddziela się garstka Polaków).

JEN. ZAJĄCZEK. Patrzcie — tam stoi ten Poniatowszczyk... rodzina zdrajców... dwaj stryjowie sprzedawali Polskę, a ten podchlebając Napoleonowi — zabrał szlify innym godniejszym. Znałem jego kochankę Kalinę, która dosłużyła się szlif kapitana w Hiszpanji... a on ją protegował! Nahulał się chłop w życiu — więcej dał ogrodniczkom za bukiety i za rękawiczki damskie w magazynach — niż my mieliśmy przez całe życie na chleb. Taki wódz — bity przez Targowiczan i przez Rosjan... opuśćmy go, myślimy o tem, jak być przy Napoleonie, aby nas potrzebował.

WOJSKOWI. Za toba, jenerale.

(Przechodzą obok Xięcia, nie salutując).

MAJOR AX. Podpisz testament...

XIAŻE. Najwięcej winienbym dać mym ojczystym wrogom, którzy mię oczerniali. Dawniej bardzo cierpiałem od tej sroki polskiej, która wykradnie każdy klejnot z duszy i złoży w brudnym gnieździe obmowy. Ale teraz — moje ciernie zakwitają jakąś straszliwą Wiarą...

(Wpadają sztabowi oficerowie Małachowski, Rabowski i inni)

JEN. MAŁ. Naciskają nas, Wodzu!

XIAŻE. Wystrzelcie ostatnie naboje armat — wtedy szarża konna będzie bronił waszego przejścia.

JEN. MAŁ. Mamy już tylko zrzedzone pułki Kirysjerów i Krakusów.

XIAŻE. To dobrze, że ci mi pozostali. Powiodę ich jeszcze przeciw tyraljerom nieprzyjacielskim. Napoleon już daleko,

niech nasi przechodzą most. Może się ocalimy.

(Widać posuwające się pułki. Grzmot armat, kanonada karabinów, sunące dymy, chargetanie rannych. Xiążę daje znak szablą, nadbiegają szeregi polskie, broniąc się i ostrzeliwując).

XIAŻĘ. W porządku ósemkami maszerować przez most. A wy tu włóście na wóz ciało, które tam jest w namiocie — a Siostrze Miłosierdzia podać konia.

(Nagle przez most, jak huragan, przebiegli saperzy francuscy. Most, wysadzony minami, z potwornym hukiem wali się do rzeki).

XIAŻĘ. Co to znaczy, Francuzi?!

SAPERZY (z drugiego brzegu) Wysadziliśmy most w powietrze.

XIAŻĘ. Nas odcieśliście na tej wyspie zaledwo w kilkuset ludzi.

SAPERZY. Musimy myśleć o Armji Cesarza. Radźcie sobie sami.

JEN. MAL. Kule tu gęsto świstają — Niemcy zrozumieli, że jesteśmy na rzeź... Ha, tyś znowu ranny, Wodzu?!

XIAŻĘ. To nic, dwie rany postrzałowe. Owiń mi chustką.

JEN. MAL. Ciężkie, trzeba zejść z konia.

XIAŻĘ. Nie, nie! Muszę być wysoko, aby stąd widzieć całą Polskę. Te widma z Polski są — i do niej wracają? Wykuwają — jakby grób ze światła.

JEN. MAL. Wodzu, musisz dla kraju się zachować. Ty krwią upływasz. Znużony jesteś śmiertelnie.

XIAŻĘ. Trzeba umrzeć mężnie.

RABOWSKI. Wodzu, musimy się poddać — dalsza obrona niemożliwa — Wszakże zostało jeszcze dość dziewczek w polu, aby z nich narodzić nowych junaków.

XIAŻĘ. Trzeba umrzeć mężnie!

JEN. MAL. (do innych) Twarz nienaturalnym rumieńcem mu pała. Jest napół przytomny. Wpław już przepłynął jedną wezbraną rzekę. Teraz znużył się w tych błotnych trzęsawiskach. Już koniem kierować niezdolny. Ha, otrzymał

czwartą ranę kulą w bok. Xiążę!... (Xiążę Józef pada w ich objęcia omdlony).

XIAŻĘ (otwiera oczy) Świeżego mi dajcie konia — ten ranny.

JEN. MAL. (do innych) Śmierć ma w spojrzeniu i w twarzy.

RABOWSKI (do Xiącia) Co mamy uczynić, Wodzu?

XIAŻĘ (z wybuchającym gniewem, siadając na konia) Wy się zawsze pytacie — wy nigdy nie wiecie, Polacy, co macie czynić! Bo zatraciliśmy, jako naród, poczucie głosu wewnętrznego. Honor jest naszym dzisiejszym słowem, jutro będzie Wiedza Magiczna wszystkich Świątów.

RABOWSKI. Zwarjował... cóż nas obchodzi Magja...

JEN. MAL. Milcz, błaznie... Mistrzjum jest nie na to, aby każdy kien mógł niem sobie wykluwać zęby.

OFICER I (w pasji) Trudno mówić z wieszczącymi, należy postąpić rozważnie. Xiążę, pływasz świetnie, ale z temi ranami nie przepłyniesz!... Wstyd utonąć w malej, bagnistej Plejsie... Cesarz Aleksander uczyni cię wielkorządcą kraju — możemy się z honorem poddać... W tem jest honor: przeżyć dla kraju!

XIAŻĘ. Wy zawsze chcecie szukać furtek do życia. Ja życie kocham, ale nie szukam furtek jego nigdy. Musi być ktoś, co zaświadczy, że Polska nie jest na kompromisach oparta: Maciejowice—Legiony — i my, Napoleonidzi. Trzeba umrzeć mężnie.

OFICER II. Za toba, Wodzu!

INNI. To warjacja — poddajemy się! Prusacy dają nam przykład — jak iść przez życie! Ratuj się, Sybillo!

WITA (wchodząc) Tu będę, a kiedy hyjeny pruskie otoczą mnie—mam lont i prochy! (do księcia) Ujrzym się kiedyś na strasznych pustyniach Lucifera za lat tysiąc — lub tylko za okamgnienie!

XIAŻĘ. Żegnam cię, eucharystjo mego życia. Wybacz, żem nieraz tak cię ranil!... Nigdy więc już tu na ziemi? Tak — już nigdy. Nie dajmy się wziąć żywcem! (Wchodzi generał parlamentarz pruski z białym sztandarem).

JENERAL. Poddaty się francuskie pułki arjergardy. Napoleon ucieka z rozbitkami. Odstąpcie sprawy rozbójnika, nie ominą was nagrody. Powierzcie swój honor Królowi Prus i Cesarzowi Rosji!

XIAŻĘ (w najwyższej ekstazie) Bóg mi powierzył honor Polaków — oddam go tylko Jemu!

(daje znak mieczem i rzuca się do rzeki).
KRZYKI. Za Xięciem!... osłaniaj odwrót... gńimy...

(Rzucają się do rzeki, inni padają).

IV

(Na kondygnacji górnej jawi się Tytan Historji z okrwawioną gwiazdą. Rozlegają się posępnie dzwony. Wzlatuje stado czarnych orłów).

KAPELAN. Trzymajmy teraz mocno wagi kryształowe. Co rozsądzimy na nich? wyzwolenie dusz idących do Boga — czy rozkład ciała na jego wapno, gazy i fosfor i żadnego Boga, ani nawet duchów... Jeśli nie wydobędziem teraz mocy na stulecia, rzucimy przekleństwo życiu!

LEKARZ. Przekleństwo jest również bezsilne, jak błogosławienie. Trzeba znaleźć prosto drogę dla swego najwyższego prawa życia — póki się nie umrze. Wykryształmy umysł na wyżynach światła Europy — będąc masonami... Naradza się to, co umrzeć musi — ale w tym przelocie jest wielka miara słonecznej wibracji. I tego musi nam starczyć!

KAPELAN. Milczeniem będę się modlił aż do ekstazy! (Wita załamuje w rozpacz ręce) Wito, przez życie byłeś płonącym świecznikiem w ręku Aniołów. Jakże to, chcesz teraz wiarę i kościół opuścić?

WITA. Tak, chcę wiarę i kościół i wszelką nadzieję opuścić.

KAPELAN. Chrystusa — tego, co na Taborze...

WITA (głucho) Chrystus miał czas tu przyjść i okazać się czemś więcej, niż umęczonym marzycielem. Jeśli teraz przyjdzie nawet z Chórami Aniołów — powiedz, że Wity, która wznosiła imię Jego na ziemi, już niema.

(Pod olbrzymią stertą odciętych rąk, nóg, jelit — uginają się wagi. Zbliża się Tytan. Oczy straszne, magnetyczne, jak fosforyzujące Morza. Młotem uderza wagi i rozbija. Lekarz i kapelan cofają się przerażeni).

TYTAN HISTORJI. Bez miary — bez wagi chcę życia w Kosmosie. Zakończmy z temi nadziejami na ryngrafach. Nowy Bóg Ziemi — to Ateizm w otchłaniach. Czcijcie go — aż do czasu nowego.

WITA. Płomieniu gorejący, który bezlitośnie spalasz wszelką Marnotę męki naszej — powiedz, czy ty przynajmniej wiesz cokolwiek o Nieśmiertelnem Życiu?

TYTAN. Tam cię wyczekiwać będę!
(znika)

KAPELAN. Jestem zmiażdżony. Nie mogę iść do umierających. Bo w imię czyje miałbym kazać wyczekiwać cudu?

LEKARZ. A ja przeciwnie — mam wiosnę w swej duszy. Tam na górach Prometeizmu ujrzałem widmo. Był to, mówiąc w twym języku, — Archanioł polski... ale straszny!

KAPELAN. (w krzyku radosnym) Mistrz z Nazaretu!

LEKARZ. To Wiedza dalszych, niż ziemia, — Horyzontów! Ale zemną już koniec — zdaje się, że i z Tobą, przyjacielu. Kule tu lecą jak grad. I obydwaj jesteśmy jak sito — dla promieni (umiera).

(Wpadają pruscy tyraljerzy).

JENERAL PRUSKI. Strzelajcie do krakusów i ułanów, co już próbują wypłynąć na tamten stromy brzeg...

(Rzegot karabinów)

JENERAL. Kto jest ów z burką czarną i złotym słońcem na czapie?

ŻOLNIERZ. Excellenz — jestem strzelec z Kaszubów!

JENERAL. Pytam — kto jest ów marszałek Francji, którego koń już zarwał kopytami na tamten brzeg?

ŻOLNIERZ. To Princ von Baniadoffsky.

JENERAL. Celuj uważnie. Nie wypuść żywego. Cała ta Polakerei podtrzymuje Korsykańskiego rozbójnika. On chciał wydrzeć nasz łup — Wielkopolskę, Kaszuby, Warmję, Śląsk... Więc tępić —

tępić bez litości... Wszystkich na tej wyspie wymordować. (Zagłada do namiotu Wity) Skąd się wzięłaś pani? nie wyglądasz na markietankę. (Ze złością) Odpowiadaj, kiedy pytam!

WITA. Znasz imię Chrystusa?

JENERAL. Znam tylko Lucipera — to Napoleon.

WITA. Chrystus prowadzi nas w mi-sterja podziemne i nadziemne. Ale wasz koniec jest taki, jak zwierząt najniższych: przemiana w ropę ziemną. Żegnajcie ziemię — bo dla was niema Zmartwychwstania.

JENERAL. To śmierć — Herr Jemine! to koniec!

WITA (rzuci lont na beczkę prochu) To początek!

(Wybuch. Dym. Z błysku i strzałów widać — że toczy się śmiertelny bój. Lwi poryk dziań, jęk umierających, rzenie obłąkane koni. Mrok)

V

(Z rozwartego pałacyku japońskiego buchnęły płomienie. Widma potępionych: król Stanisław August, faworytki, pralaci. Targowica!).

CHÓR WIDM (tychże co w scenie II). Oto słońce tonie polskich Napoleonidów! Przeżyliśmy tragedję większą, niż Atrydów! Zapatrzmy się w twarz; która już jest posągowa, my wszyscy mężni, którzy się śni — Polska Nowa — —

Był jasnym człowiekiem. I pójdzie w astralne regiony po schodach kamiennych Przeznaczenia...

KRÓL. Umiera mój synowiec...

CHÓR WIDM. Przeżyje jeszcze kwadriljony, zanim się stopi — z Bóstwem.

KRÓL. Widzę ostatnią kulę, która mu jest przeznaczona!...

HETMAN RZEWUSKI (Ohydny pajak astrolog. Mówi retorycznie, ostro), Słuszny los. Korsykański zbój podeptał prawo. Jedna litera uronioną być nie może; w Kabale zważone jest wszystko. Oto zodjakalne karty. W złą godzinę trafił. Widmo tyranji Napoleońskiej utonąć musi w moczarze. Marsa polskiego pokonał

Septentrion. Ustanie więc dzięki Północy znieważanie ludzi wolnych, ojczysta wolność od przemocy Napoleona już nie ucierpi. Są też inne znamiona. Puszczyk zalopotał i wypędził sójkę z krzaków, która w locie swym zgubiła jajo. Horoskop tedy pewny. Koniec Ciemnogrodu w Polsce. Strącenie Napoleona w łańcuchach do strasznej przepaści wraz z wolnodumcami. Gamma Ofiuchosa i delta Wołopasa.

KRÓL. Tak jest uczony, że trudno z nim się spierać... Jeden jest tylko tu diabeł, co może go przegada! A właśnie, nadchodzi. Margrabio, witaj.

CHÓR WIDM. Godzinę Sądu zbrodni Dzwon wybija.

DJABEL LUKESINI. Evviva il Re Santo di Prussia!

(Lukesini wprowadza Fryderyka, króla Prus — jako dyplomata pruski. Sam jest wytworny, o twarzy fałszywej, ma strój z XVI w., niby Cezar Bordžia, flaszeczkę z trucizną i sztylet przy boku. Na piersi pruski orzeł. Fryderyk II w mundurze z peruka, mina rekina).

DJABEL LUKESINI. Dajcież mi buzi. Jestem, jak wiecie, polski patrijota. Moja Italja łaknie, jak wasza Ojczyzna, swobody! Do Warszawy jam przybył na mróz—niewygody...

FRYDERYK II. Tu łżeć — niewarto... Historia jest bez winy... Wieśniaczki wasze—grenadjerom! odnowimy Wawel, bo tam zamieszka Król Pruski...

LUKESINI. A z nim wraz — Makia-wel!

FRYDERYK. Poznacie administrację ostrą bez zabawek... Wisielcy smętni... wśród śmiertelnych czkawek. W objęciu pięknych kobiet czy polnej osiny witajcie mnie — impresarja polskich marjonek! I cóż, Najjaśniejszy ze Stasiów... — król Lazienkowski wśród kobietek!...

CHÓR. Włóż, królu, koronę — bo rozpoczyna się tragedja. Już doleciała kula. W tysiącnej części okamgnienia przetwarzać się będą światy jasnovidzeń i wspomnienia. My—co już gonimy piorun, słyszymy rośnienie traw — tu w

amfiteatrze duszy — zasiądźmy — nim
koń przepłynie wpływ!

KRÓL. Zaiste, pomysł arcygrotesko-
wy. Mamy do loży wejść w teatrze —
Mracej Głowy?!...

CHÓR. Wszystko się stało mrokiem.
Czarne orły Tatr, jak meteor, lecą tu po
jego duszę. Z Hadesu żenie wiatr...

TARGOWICZANIE. A my — jak psy
konali... wyjąc, Jak nietoperze, przed
słońcem się kryjąc...

CHÓR. Tam bohaterzy nadchodzą, by
uściskać dłoń

Która ojczyźnie — Znicz zapala!

Tłum ciemnych myśli ustąpić musi przed
jedyną,

I ta mu wskaże drogę wieczności...

KRÓL. Z nim — Polacy giną!
świecień wawozem!

CHÓR. Taka śmierć musi błysnąć roz-

KRÓL. Straszno zaglądać do ostatnich
technień —

Może przekleństwo tam będzie życia,

Sądny z piekła dzień?...

CHÓR. Na górach męstwa On stanie o-
bozem!

DJABEL. Cóż to za pasja wciąż umarłym
kadzić!

Lecz jeśli na tych górach ziarenko po-
sadzić

Prawdy — to ujrzenie, iż Xiążę — Xią-
żę posagowy —

Pół życia strawił przy Frynach w ukryciu
alkowy!...

Kra krę mija... jest dla mnie przeto iście
mądry,

Kto bajkę życia prześnił w buduarze fladry.
Mrok, fanatyzm, głupota, zdrada — prze-
klinają

W całej Europie wolność — i was już za
żebraków mają!

CHÓR. Jak w wizji Świętego Jana

Ukaże się nam Polska — jeszcze nie ta
odzyskana,

Ale się rozslonią tajemnice —

(WITA i MŁODZIAN—jawia się na kon-
dygnacji. Ona trzyma pochodnię, on sztandar.
Wita w wieńcu mirtowym, białej tu-
nicy z fioletowym węzowym szlakiem i
pochodnią w dół opuszczoną).

MŁODZIAN. Widzisz, matko?

WITA. Milknę — Lucifera lice!

CHÓR. Widzisz, Polko?

Pędem Niagary leci myśl w głowie toną-
cego Xięcia —

Strasliwe piekło Zejścia w dół między
szatanów zdradę —

Lecz oto idzie Burza Wiosny i pośród
gromów rozbłyśnięcia

Z Napoleonem wstaje Polska... Ach, zno-
wu idą chmurowłade

Na nią zdarzenia. Lecz świetnych imion
nic nie zatrze.

O, ty Ajschylu—Duszo, stoimy w twym
Amfiteatrze!

DJABEL. Zapalim księżyc iluzji, że są
dusze bratnie.

KRÓL. Nie wchodźmy — de grace — w
rzeczy zbyt czarne i ostatnie,

Bośmy wypili wszyscy czarę tej polskiej
cykuty.

MŁODZIAN. Oto chcę śnić — razem z
Xięciem, że jest kraj rozkuty,

I że tam wolno przeżywać miłość z Ro-
mea i Julji,

Słuchając złotych szemrań rojopszczel-
nych uli.

Ach, błędząc w lip tysiącletnich tajemni-
czym cieniu,

Zapomnę — że jest bliźnim naszym podle
zwierzę,

Którego nęca: oszustwo, przemoc i gra-
bieże...

DJABEL LUKEZINI. Belle excursion, mój
luby — lecz jakby na Etny

Lawach pali się mój chwost, mój trzewik
i ma noga!

Aa! koncept djabli, nieprzystojny, szpetny...

RZEWUSKI. Gdzież krytyk mój nadwor-
ny, Krzykała Filutkiewicz?

Jak na ten żar patriotyczny bryźnie pan
generał Drewicz?

KRÓL. Co o tym pomyśle Wizji rzeką
Boalo i Rasyń —

Lub wielki Laharp? teatr Misterjum? nie
pojmuję.

DAMY. Przedstawmy Xięcia myśli osta-
tnie — o kobietach!

Grób jego otoczą Amorki, buduar niech
Fragonar wymaluje,

A tedy publiczność w mitrach się zeldzie
na kulturowych wetach,
W jakiejś Wersalji ducha—w atmosferze
Kasyn,
Angielskich dendych—i... Nie poruszajmy
choses niestrawnych.

KRÓL. Wolejby — Jeleni Park pośród
kurtyzan sławnych,
Jak Ninon Laclos — lub panna Lhulier
Protestujemy w ich imieniu —

WITA. Milcz — niech mówi tylko w naj-
wyższym sumieniu

Najgłośniejszy głos. Xiążę tam wezwie na
Termopilach polskich Boga —

I w wiedzy naród w Kaudyjskie wąwozy—
Samotni aż do gwiazd w wichrach mię-
dzyplanetarnej grozy;

Orły wieszczel! nieście nas! (Lecą w bu-
rzy ognia).

DJABEL LUKEZINI. Zapomnieli o
mnie, który praktycznie wyłożyłem Ma-
kiawela, że trzeba z uśmiechem zdradzać.
Niewdzięczni, uczepię się was, jak rak le-
cących łabędzi!

Poznacie, że bezemnie widzenie wasze
byłoby daitonizmem.

Dalej — widma egoistów, karciarzy,
prałatów, kosterów, lafirynd, półnotek,
zdradców — a przede wszystkim, naiwne
polskie tumany, wierzące w szczerłość
dyplomatów. Dalej, moje polityczne dru-
żby! ale nie na Termopile... na psie pole
dla Polski!

(Z mroku rzeki wychodzi Xiążę, spiżowy,
konny, jak na posągu Thorwaldsena. Roz-
lega się jego jęk).

XIĄŻĘ. O o o! weźcie mię — weźcie
z tego błota zwątpień!

(Czyni znak ręką. Jawi się lew skrzy-
dłaty. Przechodzi wspaniale na tle mo-
drym górnej kondygnacji i znika za bra-
mą w jaskini Inferna).

XIĄŻĘ. Lew, zwierzę potężne płowe
— z lasów i pustyń! Wszedł milcząc do
jaskini i wraz zatrząsł się mocą ściany
serca mego.

Jam twórca? Dźwigam się. Nie będę
zebrał u bram przeznaczenia! Wejdę mo-
cą własną do piekła i wyjdę Zwycięzcą!
Młota mi! jako Polak, nie mam już żadnej
mocy na tym świecie. Więc wyrwę bra-

mę tę z wrzeczadźców i wezmę za swój
taran. Tu wyczytuję napis: Za winy Oj-
ców. Smętna brama — lecz dobra na
tarczę dla Upiora!... (Bramę wyłamuje.
Zza bramy wychodzi Djabeł z halebardą.
Mimo przebranie poznać w nim można
xięcia Repnina).

REPNIŃ. Słyszałem szczekanie Hade-
sowych psów. Ktoś wszedł tu. Otóż bo-
hater i polska wieszczka. Gdzie tylko ich
niema! kto jesteś?

WITA. Śmiertelna — nieśmiertelna.

REPNIŃ. Nie mów bajek — wszystko
ginie z śmiercią.

WITA. Urwanyś z łańcucha, widzę —
i odbierając nigdyś byt memu Narodowi,
odbierasz go teraz samemu sobie!

REPNIŃ (do Xięcia) Na cóż wyrwa-
łeś żelaza z tych wrzeczadźców. Co? (po-
dejrzliwie) Ha — rozumiem... wykuwać
nowe kosy, bagnety i sztylety... wszyst-
ko przeciw Rosji? o, intrygo!

XIĄŻĘ. Mylisz się tym razem. Nie
walczę już, ale potrzebuję grozy strasz-
liwszej, niż ta — która mi przedarła
płuca i duszę. Słuchaj — wolę mówić z
wrogiem teraz, niż z dobrym polakiem.
Słuchaj — życie tak puste kończy się my-
dlaną bańką śmierci! czy jest choćby
djabeł i Piekło?... a jeśli jest, wiedz mię
przed jego tron: ja chcę należeć do tych,
co wstrząsną filarami Ziemi i, patrząc na
potworne rumowisko — będą się śmiać,
śmiać — aż śmiechem spoliczkują Mon-
strum przemierzone —

REPNIŃ. Wprowadzę cię przed Ma-
jestat najwyższego zła. Twe zawołanie?

XIĄŻĘ. Aż do końca!

REPNIŃ. Nie znam tego hasła, bo tu
końca niema. Widać dano je wtedy, gdy
w koniec wierzone. A tu jest, Panie Wo-
jaku, wiekowa męka: będziesz rzucony
między raki i pokrzywy w koszu:
wszystko będzie cię żreć i palić hańbą.

Więc ujrzyś naród swój przegniłym.
Na tej zgniliznie — gdzientęgdzie jeszcze
zdrowej — będą butami deptać chamy,
gorsze od karmników. To się nazwie kul-
tura Zachodu. Będziecie nie ludźmi —
chroń Djable — lecz mierzwą dla Prus
(Na dole jawią się wojska pruskie):

WIDMO PRUSKIE. Das Polnische Gesindel man muss recht gut dreinhauen...

Rozpocznijcie mordowanie więźniów polskich!

XIAŻĘ. Więc to nie koniec mego czynu — lecz dopiero prymicie... więc muszę jeszcze bronić Zamku polskiego?! I wziąć oręż stokroć potężniejszy, niż mieli ci, co zemną polegli...

(Na kondygnacji górnej jawi się chór rycerzów).

W imię skrzydeł waszych żądam — o Widma — abyście mi zwolili wyjść ze straszliwie bolesnego Katodos narodu — z Inferna Targowicy! wkroczyć na przełęcz narodu tam — gdzie stanęli już husarze Batorego i Żółkiewskiego, Czarnieckiego i króla Jana. I stamtąd wykuwać Zorzę Bytu! W dzwon podziemny uderzam — niech zadźwięczy trzykroć mogilny, a do życia rwący słę dźwięk.

CHÓR. Zuchwały! nie wiesz, jaki nawał myśli zleci tu — jaki tłum lirników powstanie z kurfianów — jakie krakanie kruków, w które zmienili się wrodzy walczący...

Jaki skwir orłów — dusze tych, którzy na polach Saragossy dokonywali cudów — jarzmiąc Inny naród.

WITA. Na czterech węglach zbudowany jest duch człowieczy — na ziemi, wodzie, powietrzu i ogniu. Z trzech pięter składa się człowiek: ze zwłznięcia, z rozumu i z dajmona. Do dwu światów należy — zstępuje on z tego, który jest pod szkarłatem wrażeń, a zmierza do tego, który jest fioletem ekstazy!

W jedyną rzecz wierzy człowiek zmarły, bo jedyną wie aż do końca: iż Duchem wyrasta ponad znikome Przemijanie.

TARGOWICZANIE. Jeśli nie wytrzymasz grozy, którą wyzwaleś zakłębciem — jeśli upadniesz z rozbitem sercem pełnem bluźnierstwa — nie wina to moja — nie wina to nasza! z mroku wyzwaleś nas zakłębciem dzwonu.

XIAŻĘ. Pokłon oddaję wam — wielki tłumie idący z cmentarnego Katodos narodu, Zdrajców tu więcej, niż Budowni-

ków. Lecz wszyscy musimy być już Mojzeszowym słupem Narodu.

Unoszą się tu ze skwirem orły o twarzach wieszczów. Niech piorun woli uderzy — niech wszystko liche straci się wstecz ku otchłaniom, z których wypłynęły czarne i ogniowe Acherony nie-szczęście narodu.

CHÓR. Zahuczał piorun — dziewiętkrotnym echem obja się o niewidzialne bramy, z których każda dźwięczy coraz straszliwiej.

TARGOWICZANIE. Za winy nasze! za winy nasze! Za winy nasze — nie karaj nas — Ty Niewiadomy.

WITA (do Xiążę) Daj mi dłoń — będę Wergilim Twym w wędrówce po kręgach życia. Jeśli nie wytrzymasz grozy szczęścia minionego i piekła, które zwycięża wszystkich, — jeśli padniesz w nurt rzeki z rozbitem sercem — nie wina to moja, mój Najmilszy!

TARGOWICZANIE. Wina to nasza, wina to nasza! z mroków wyzwaleś nas zakłębciem, które brzmi. jak dzwon. Xiążę — wydarleś bramę Piekła.

WITA. Co widzisz?

XIAŻĘ (wchodząc na Kondygnację górną) Rozpoczęło się niegdyś tam nad Dnieprem romansiem miłości mej ku Beatricze...

WITA. Mdleje mi serce od niewysłowionego szczęścia, które unosi się w powietrzu. Śpiewają słowiki. Cóż dzieje się w tobie, mój Xiążę?

XIAŻĘ. Przeróżające zwątpienie czulem — bo oto same labirynty i Inferna! A tak dalekie zorze odradzającej się narodowej wiosny... (Wpadają Kozacy Dnieprowi i Krakusi z pochylonemi lancami i kosami).

KOZACY. Ej, batku Josypie — ej batku Josypie — na Ukrainu — hej!

KRAKUSI. Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy!

co nam obca przemoc wzięła — mocą odbierzemy.

Marsz, marsz, Poniatowski — z ziemi pruskiej do Krakowskiej, za Twoim przewodem — złączym się z narodem!

XIAŻE. Polska każe walczyć za światło i wykuwać je z grubych, postokroć kamiennych, ciemności. My, widma jasne, wracamy do Polski!

CHÓR. Wracać ku Tobie, Ojczyzno? a więc pod warunkiem — że odsłoni się dla nas samych wielki sens Polski na tej ziemi!... (Chmura Piorunowa — zapada wszystko w głębiny. W mroku hucza długo pioruny, aż cichną).

VI

GŁOS. *Jam z wami — po wszystkie wędrówki. Z iskry nieśmiertelnej utwo-*

rzyłem tęsknotę za Wyżynami. Naradzam się w każdym sercu, świadomem męczarni i szczęścia. Odkryłem niezmiernie horyzonty wojny i miłości, gwiazd i praw Natury. Jam z Wami. Jam — Wami! Jam Polską za lat tysiąc... In te-nebris... luceo!

(Rozlega się muzyka — chóry pieśni dalekich... MROK).

Tadeusz Miciński



ZA UMARŁYCH I ŻYWYCH

Duszym strudzonym wieczne odpocznienie,
Słoneczny spokój tym, którzy spokoju
Nie znali nigdy, szli przez zwarte cienie
Spragnieni światła, upadali w boju
O cud, by Twoje nie gasły promienie...
Daj, Panie, ciszę im chłodną po znoju,
Niech ich otoczy Twoich gwiazd świtanie...
Duszym strudzonym wieczny pokój, Paniel

Wieczny spoczynek Ojcom, którzy legli,
Niosąc dań krwawą, a ich krzywda woła
Hejnałem czynul Tym, co nas ustrzegli
Śmiercią od śmierci, że dziś dumne czoła
Wznosim — synowie duchem niepodlegli!..
Ześlij im wizję przyszłości Anioła:
Niech im ukaże Polski Zmartwychwstanie.
Rycerzom Twoim wieczny pokój, Paniel

II

Policz ból, Panie, tych, co uścisk bratni
Ostrzem bagnetu dziś odpierać muszą,
A słysząc brata swego jęk ostatni,
Żyją, lecz żyją już z umarłą duszą...
Wywiedź ich serca z mrocznej wątpień matni
Wiarą, że dłonie ich nam więzy kruszą,
Że się już zbliża Wolności zaranie...
Walczącym braciom pokój duszy, Paniel

I tym, dłoń czyja naszą krwią splamiona
Paliła chaty i niosła zniszczenie...
Niech męczeństw naszych ofiara czerwona,
Jak krew Chrystusa, niesie odkupienie —
Niech z oczu ślepych opadnie zasłona —
Mroki rozwidni Twego blasku tchnienie —
Niech się Królestwo Twe na ziemi staniel

Wieczny spoczynek naszym wrogom, Paniel

Marja Świdzińska-Rodowiczowa



yle
dzwonów...
Skąd te
dzwony?...

Jakaś masa bezkształtna, jakaś ruina straszna, wielka, potężna...

I tu i tam, gdzie oko pobiegnie, — dzwony i dzwony...

Piętrzące się, przytulone do siebie, jakby w masie wielkiej szukały ucieczki, obrony przed czemś strasznie bolesnym, niesprawiedliwym, przed czemś okrutnym, co je spotkało.

— Boże, ileż to dzwonnice teraz zamarło, ileż kościołów naszych nie głosi teraz chwały bożej!...

I na Anioł Pański lud chyba nie klęka —

I do kościoła chyba chodzić zapomniał —

Jakoś kościół go nie ciągnie, nie przyzywa dźwięcznym głosem rozhuśta-nych dzwonów.

I poco je zabrano, poco tak strasznie sponiewierano! Któż im wróci ich majestat, ich powagę i świętość?

Zahuczały armaty, zadudniły tysiące kopyt końskich po drogach naszych cichych, spokojnych wsi polskich...

Śród cichej, ciemnej nocy dźwięk dzwonu się rozległ. Pierwsze uderzenie, za nim drugie, trzecie, dziesiąte... Coraz szybsze, coraz głośniejszym echem w dal biegnące —

Rozkołysał się dzwon na wieży wy-smukłej — przeciągle dzwoni na trwogę.

I oto na tle łuną krwawiącego nieba czarną sylwetę wieżycy zda się jęć i płacz błagalny dzwonów unosi gdzieś w górę, pod stopy Boga wszechmocnego. Wieżycy rośnie, coraz potężniejsza i wyższa, im łuny krwawsze.

A dzwony dzwonią i dzwonią —

Żegnają lud wioskowy —

Z wozów, długim sznurem ciągnących, zwracają się ostatnie spojrzenia, ostatnie westchnienia do wioski rodzinnej.

— Czy ja was, dzwony moje wioskowe kiedy usłyszę jeszcze!...

Aż oto naraz huk przeciągły stamtąd, gdzie luna krwawa, coś się wzbilo w niebo, coś zahuczało i padło ze strasznym hałasem między długi sznur wozów.

I naraz dzwon inaczej zadzwonił...

Jakiś jęk tak straszny, tak płaczliwy!

Chyba Bóg musi go usłyszeć!

To dzwon płacze...

Płacze po umarłych...

Ostatnie jego płacze, ostatnia usługa, bo oto nagle wpadają tłumy wojska —

— Jezus, Marja! Dzwon zamilkł! Wierzyca pod uderzeniami potężnych oskarżów kruszy się, przechyla, pada...

A z nią razem upada dzwon...

Z gruzów wydobyty, na deski rzucony, opuścił dzwon swoją wioskę i dzwonicę swoją.

Stłoczone i przytłuczone do siebie leżą tłumy dzwonów. Nawała raptowna i okrutna wszystkie je wypędziła z dzwonic rodzinnych i rzuciła tu na ziemię obcą, zimną i nieprzytulną...

Przywykłe gonić falą swych dźwięków obłoki na niebie, wryły się teraz ostrymi brzegami w ziemię czarną i błotnistą. Patrzyły z góry na pola zbożne, na łąki i lasy odległe — teraz obrosły trawą i chwastami, stoją w poniewierce.

Jeszcze teraz jest w nich jakaś nieokreślona moc i potęga, jeszcze teraz jest w nich tyle mocy i świętości!

To nie jakieś kawałki metalu martwego: w dzwonach sponiewieranych czuć jeszcze duszę!

Oto jeden z nich — wielki i szeroki — wrył się bokiem w ziemię, wsparł swą głowę na dwu sąsiednich dzwonach, a brzeg przeciwny wznosił do góry, pod jego skrzydło opiekuńcze schowały się dwa dzwony mniejsze. Ochroni je od deszczów ciągle smagających.

— Dobry, opiekuńczy dzwon!

A tuż obok niego leży drugi kolos pęknięty. Czarna szrama, jakby żaloba, ciągnie się od góry do dołu. Dziwne pęknięcie: płaskorzeźbę Matki Boskiej szrama ominęła — jakby dzwon czuł, jakby bronił swego najświętszego miejsca.

— W tym dzwonie jest dusza!

A dalej. Napis, — słowa naszej najulubieńszej modlitwy:

Przed Twe Ołtarze zanosim błaganie:

Ojczyznę, wolność racz nam wrócić, Pani!

Każde uderzenie tego dzwonu modliło się temi słowy.

To dzwon ewakuowany z Galicji.

Na obcą ziemię rzucone, nasze polskie dzwony mają jakiś majestat w sobie. Nawet oko nieprzywykłe do ich ciągłego widoku odróżni je odrazu od obcych — przez to choćby, że stoją jakoś butniej, jakoś dumniej.

Ponad głowami całego tłumu dzwonów wznoszą się jarzma dzwonów polskich. Z brewion i belek z polskich dębów i buków sklecone, ręką polskiego kowala w grube sztaby okute, mają w sobie coś przypominającego wioskę swoją prostą i formą. Jakby strzecha nad chatą, nad polskim dzwonem stoi jarzmo opiekuńcze.

Jarzmo polskich dzwonów nie jest symbolem niewoli, ale symbolem ich swobody, jest ono równowagą — tem, co cięży ponad nimi, pozwalając zrównoważyć własny ciężar.

Dzięki niemu polskie dzwony mogą swobodnie, tylko na jednej osi zawieszane, bując w przestrzeni, są zdolne za brzmieć całą pełnią dźwięku.

— Jakby dusza ludzka, która wtedy pełnią modlitwy rozbrzmiewa, gdy nad nią cięży jarzmo bólu i strapienia.

Jak w życiu, prosta rzeczywistość: belki nieobrobione i pręty żelazne tworzą jarzmo zwyczajne, niczem nieupiększone.

Ileż nabiera ono harmonji i piękna, gdy służy za równoważnik dzwonowi pięknie i artystycznie rzezbionemu!

W płaskorzeźbach, upiększających dzwony, umieściła się dusza tych, którzy te dzwony fundowali.

Najczęściej spotykanym motywem jest Zwiastowanie Matki Boskiej, następnie Matka Boska z Dzieciątkiem w najróżniejszych postaciach.

Królowa narodu polskiego jest najbardziej czczona. Czasem rzeźba jest tak śliczna i artystycznie wykonana, że oka od niej oderwać niemożna.

Dalej spotyka się najczęściej Męka Pańska, Pan Jezus miłością gorejący.

święty Stanisław, święty Michał, zabijający diabła, i święty Florjan, patron strzegący wsi o strzechach słomianych od częstych pożarów.

Leżą obok siebie dzwony małe i duże, bogato rzeźbione, grające tęczą blasków, gdy na nie promień słońca padnie, i ubogie, pozostające wiecznie w cieniu.

Co mniejsze, wybrano i rzucono do szop, do baraków ciemnych. Tam wiatr deszczem ich nie smaga, ale zato, pokryte warstwą pyłu i pajęczyn, słońca dawno nie widziały.

Okrutne jest, zaprawdę, to pozabawienie ich światła i przestrzeni, do której przywykły na swych wysokich wieżach!

Długie i wielkie baraki, napełnione dzwonami, ciągną się jeden za drugim...

Była chwila, kiedy zdawało się, że dzwony, do tych ciemnic rzucone, pozostaną w nich nadługo, może nazawsze...

— Lecz nie! Serce społeczeństwa polskiego drgnęło.

A że wszystko, co wielkiego na świecie się dzieje, dzieje się przez miłość, przeto i na głos serca polskiego wyciągnęły się dziesiątki rąk dzwonom na ratunek.

I oto dzwony, do których społeczeństwo przyszło z miłością w sercu, uczuły naraz, że już nie są opuszczone. Dziesiątki rąk podnosiły je, wyciągały z błota, oczyszczały z kurzu i pajęczyn, odstawiały dzwony dumne i szlachetne od dzwonów krzyczących jaskrawością swych ornamentacji, często jeszcze różnokolorowo malowanych.

Dzwony polskie oddzieliły się...

Wniknęto w duszę każdego z nich, każdy pokolei zapytano, skąd przybył,

czy przywiózł ze sobą zapach polskich łąk i pieśń ludu rozmodlonego... Rany kalekom leczono, szczątki pobitych zebrano.

I oto w barakach ciemnych, gdzie poprzednio kurz bezkształtną masę pokrywał, ustawiły się dzwony w szeregi. Znów, zda się, dumne i pełne powagi i świętości.

Lecz nadeszła chwila, kiedy ręce, już dochodzące do końca pracy, opadły bezradnie.

Z ust tych, którzy dzwony leżące w letargu pokochali, wyrwało się pytanie: Czyż sami, nieliczni, możemy nasze skarby wielkie uratować pracą ponad siły? Sił nam już brak i środków nie starcza...

— Polacy, ratujcie nasze dobro wraz z nami!

Nie, dzwony nasze nie zginą, o każdym wiedzieć będziemy, jak o dziecięciu naszym, rzuconem na obcą ziemię.

Dzwony są własnością narodu polskiego, a Polacy kochać umieją...

A gdy długim sznurem ciągnące powroty dążyć będą na zachód, wówczas ze wszystkich krańców wielkiego mocarstwa powstaną z ciemnych baraków i dzwony polskie, do powrotu, do kraju...

I chwilę, kiedy wielki naród nasz, znowu sił pełny, odrodzi się do nowego życia, — ze wszystkich odbudowanych dzwonnicy polskich obwieszcza radośnie dzwony!

Wówczas... uderzą polskie dzwony całą pełnią swego dźwięku, całą wielkością rozhuśtanych i wyswobodzonych jarzm...

Wówczas —

— Uderzą dzwony!

Henryk Drozdowski





Opóźnienie zeszytu niniejszego spowodowały niezawisłe od woli naszej przeszkody.

W porze, kiedy miał się ukazać, u nas — po lasach, parkach i cmentarzach gęsty liść złoci się lub purpurowieje — wiruje w powietrzu, aż kolorową masą ziemię uściela. Na świątym rżyskach ranek jesienny srebrną pajęczynę snuje, która w słońcu wszystkimi barwami tęczy się mieni pod migocącą brylantami rosą.

Teraz — na niziny nasze cicho opadły płatki miękie, niepokalanie białe. Słyszycie chrzęst, z jakim mróz chwyta je i stula, widzicie zapalające się tu i owdzie na równinie białej ogniki od smutnego słońca? Lecz oto znikają strwożone, bo już nabiegły chmury ciężkie, ołowiane i spędziły mróz, a z nim rażącą wzrok białość. Zimny, bezbarwny deszcz bezlitośnie pobija śnieg, zlewa go w płynną, brudnoszarą masę i na wierzch wydobywa kałuże czarne. Z bezlistnych konarów topól sennych i rudych wierzb rozlega się ponure krakanie wron — po zszarzałych polach błąka się wielki smutek i do każdej zagłada chaty —

Wtem nadleciał ostry wiatr — wnet poruszyło, zatrzęsło się wszystko — — za chwilę już uciszyło się i zastygło. Chmury kędyś przepadły, wyiskrzzone ciemne niebo mirjadami srebrzystych gwiazd mrugać poczęło. A nazajutrz dzień ten sam mroźny wiatr przypędził śniegowe zwaly chmur, które zasypały świat znowu przezystą białością. Nagie gałęzie drzew, niby kwiatem, okryły się okiścią srebrną, po której — gdy nadeszło słońce — jęły przelatywać drobne iskierki złote, zielone, błękitne, purpurowe...

Zapadł zmierzch — w górze pierwsza gwiazda zabłyśła — W każdej chacie światło płonie — w każdej pieśń starodawna bije o bielony pulap, jak ptak trzepoce i przebija się przez zamrożone szyby w białe pola. Rozśpiewana ziemia dygoce przecuciem radosnej chwili — w chatach wyciągają się ku sobie ręce z dzielnym opłatkiem białym...

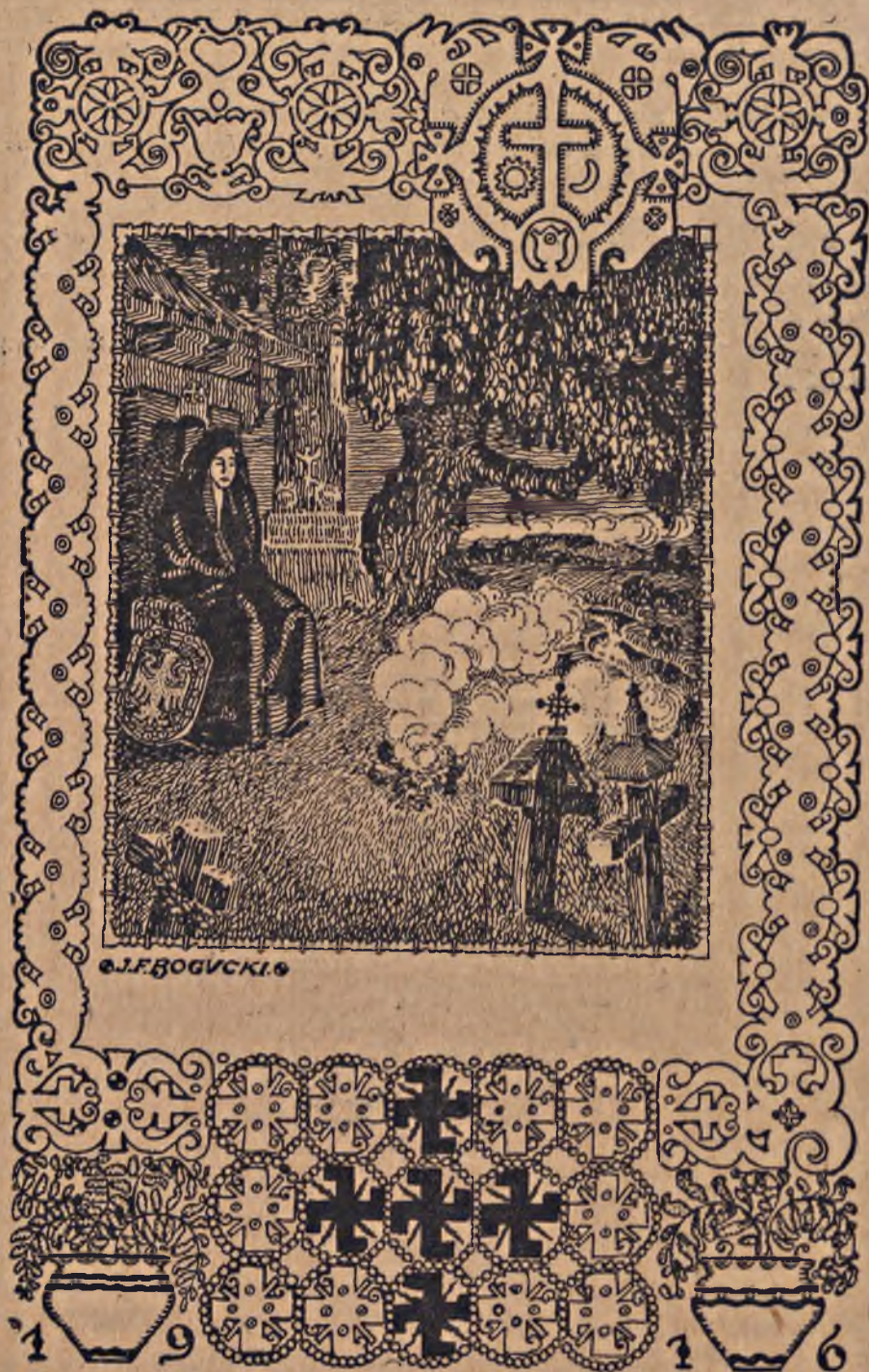
Przy każdym stole wigilijnym zostawiono puste miejsca — — —

Czy słyszycie westchnienia, stamtąd biegnące ku tym, którzy już nie wrócą, i ku nam, którzy — może — wrócimy?

A gdy stamtąd płyną wołania: — Wróćcie! — odpowiadamy zgodnie, z pewnością wiernych serc: — Wrócimy! — i życzymy sobie wzajem wszyscy: — Obyśmy w jasności powrócili do jasnej Polski — —

Bowiem zła, ciemna moc — truchlejąc — przepada, gdy nasz jasny BÓG SIĘ RODZI!





J.F. BOGVCKI.

TREŚĆ ZESZYTU

	Str.
Inwokacja	3
<i>H. St. Pytliński</i> Zebraliśmy się razem	5
<i>M. Limanowski</i> Zwiastowanie	14
<i>Fr. X. Pustowski</i> Wybudowanie Katedry	24
<i>M. Wołowski</i> Jesienią	26
<i>M. Morelowski</i> Artyści polscy na wychodźstwie w Rosji wieku XVII	28
<i>H. Duninówna</i> W Dzień Zaduszny	45
<i>B. Jerczyński</i> Zmierzch	46
„ Do siostry	46
<i>K. Sędziuk</i> Przed bitwą	47
<i>W. Przeclawski</i> W zatracenie	48
<i>P. Hajdukowska</i> Orle gniazdo	52
<i>M. Dłuska</i> Dzwony	53
<i>J. Przeclawska</i> Życie nowe	53
<i>M. Morelowska</i> Śpiew	54
<i>T. Miciński</i> W nurtach Elstery	56
<i>M. Świdzińska-Rodowiczowa</i> Za umarłych i żywych	70
<i>M. Drozdowski</i> Uderzą dzwony	71
Zakończenie	74

Okladka, winiety i ozdoby *J. F. Boguckiego*, *K. Homolacza* i *M. Rozbickiej*.

Kierownictwo literackie: *H. St. Pytliński*

Kierownictwo artystyczne: *J. F. Bogucki*



Wydawnictwa Zarządu Koła Literacko - Artystycznego Domu Polskiego w Moskwie (Milutyński, 18) do nabycia w znaczniejszych księgarniach Cesarstwa—ze składem głównym w Księgarni Polskiej w Moskwie (Sretieński, 2):

MIASTO ŚWIĘTEGO JANA — zeszyt zbiorowy — cena rb. 1.20

WAROWNIA — zeszyt zbiorowy — cena rb. 2.20

BÓG SIĘ RODZI — zeszyt zbiorowy (w przygotowaniu)

KUŹNICA—zeszyt zbiorowy (w przygotowaniu).

Pierwszorzędnym obowiązkiem każdego Polaka, tutaj przebywającego, jest:

przyść ze stałą miesięczną pomocą KOMITETOWI POLSKIEMU, jako organizacji, zaspakajającej konieczne potrzeby wygnańców, zamieszkałych w Moskwie;

opodatkować się na rzecz RADY ZJAZDÓW, jako organizacji, obejmującej kulturalne i ratunkowe cele w Cesarstwie prócz Moskwy;

rozszerzać wśród znajomych świadomość o niezbytności wykonywania tych obowiązków narodowych.

Stale składki i ofiary przyjmuje codziennie Kasa Główna Komitetu Polskiego (W. Łubianka, 20).

RATUJMY DZWONY POLSKIE! Praca nad odszukiwaniem, segregowaniem i zabezpieczeniem prawnym dzwonów ewakuowanych (którą objęto już sześć tysięcy dzwonów) wymaga — prócz niezmiernych osobistych wysiłków pracowników — znacznych środków pieniężnych. Każdy z nas jest obowiązany być obrońcą tych wspólnych dóbr naszych, mających — prócz moralnej — wielomiljonową wartość pieniężną. Każdy z nas powinien i może być takim obrońcą, składając daninę pracy lub składkę stałą czy ofiarę jednorazową. Najdrobniejsze datki, każdą pomoc przyjmuje WYDZIAŁ OPIEKI NAD ZABYTKAMI SZTUKI I KULTURY PRZY KOMITECIE POLSKIM W MOSKWI (Miasnickaja, B. Złatoustinskij, 6. Lokal Akc. T-wa „Goniec“). **RATUJCIE DZWONY NASZE!**



6268

